

1956

KAMENA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN

NR 3 (109)

T R E Ś Ć

NA ŚMIERĆ BOLESŁAWA BIERUTA	3
JERZY MIKKE: Olbrzym czynu	4
ROMAN ROSIAK: Pasja życia i walki	9
EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI: „Niemcy” H. Heinego	12
HENRYK HEINE: Niemcy	14
HENRYK GAWARECKI: Zamek Lubelski	19
JANINA BRZOSTOWSKA: List z Nałęczowa	24
ZBIGNIEW JAKUBIK: O młodych — najprościej	24
ANNA JAKUBISZYN: Po trzech latach	26
STEFAN WOLSKI: Czy naprawdę jest tak źle z lubelską młodzieżą literacką	28

Z TWÓRCZOŚCI MŁODYCH:

WOJCIECH KIEŁCZEWSKI: Towarzysz Bierut — w Warszawie	31
ŚLAWOMIR SOBOCKI: Sprawa Olka	31
ZYGMUNT FAŁATYCKI: Rotunda; W ogrodzie	35
ZBIGNIEW STEPEK: Telegram	36
JAN KOCZWARA: Pieśń o ziemi lubelskiej	37
JANUSZ ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI: bez poezji; ***	37
JERZY KSIĘSKI: Liryka wieczoru	38
JANUSZ DANIELAK: Spór o marzenia	38

KRONIKA KULTURALNA LUBELSZCZYZNY

Z Klubu ZZPK i Stowarzyszeń Twórczych; PPIE — E. G.; Ekspozycja Polskiego Radia w Lublinie na nowym etapie pracy; Wystawa Plastyków Amatorów; Działalność Wojewódzkiej Komisji Stypendialnej im. F. Chopina — H. S.	40
Z życia młodzieży: O klubach studenckich; „Życie UMCS” na cenzurowanym; Dwutygodnik Akademii Medycznej — wk.	44

WŚRÓD KSIĄŻEK:

Stefan Papée: Książki z frontu walki o teatr idei; Edmund Grzybowski: Dziennikarstwo podniesione do wysokiej godności; jnk: Przegląd nowych wydawnictw	44
--	----

NOTY:

W numerze czwartym „Ogońka” z rb.; Brunona Jasińskiego... -kaj-	48
---	----

KORESPONDENCJA:

Odpowiedzi redakcji; Reklamacja do „Kamery”	48
---	----

KONKURS LITERACKI Z NAGRODAMI

(v. str. 3 okładki)



CHODZI O TO, ABY OCENIAJĄC WNIKLIWIE I WSZECHESTRONNIE NASZE ŻYCIE SPOŁECZNE I GOSPODARCZE, NASZE OSIĄGNIĘCIA I ZDOBYCZE, Z KTÓRYCH MAMY PRAWO BYĆ DUMNI, NASZE TRUDNOŚCI I PRZESZKODY, KTÓRE POWINNIŚMY WIDZIEĆ I CORAZ SKUTECZNIEJ POKONYWAĆ, NASZE NAJBLIŻSZE ZAMIERZENIA I ZADANIA, WOKÓŁ KTÓRYCH CHCEMY MOBILIZOWAĆ MASY LUDOWE, ABYŚMY W TEJ OCENIE NAUCZYLI SIĘ TRZEŻWO DOCIERAĆ DO ISTOTY SPRAWY, DO KORZENI ZŁA, KTÓRE UTRUDNIA NAM OSIĄGANIE NAJLEPSZYCH WYNIKÓW W NASZEJ WALCE, W NASZEJ PRACY SPOŁECZNEJ I GOSPODARCZEJ. CHODZI O TO, ABYŚMY NIE ZAMYKALI OCZU NA BŁĘDY, KTÓRE POPEŁNIAMY, PONIEWAŻ UKRYWANIE BŁĘDÓW SPRZYJA WŁAŚNIE ICH NARASTANIU. NA BŁĘDACH MOŻNA I NALEŻY SIĘ UCZYĆ, ALE W TYM CELU NALEŻY WYDOBYWAĆ JE Z UKRYCIA NA ŚWIATŁO DZIENNE, ANALIZOWAĆ ICH PRZYCZYNY I WYCIAGAĆ Z NICH SZYBKIE I WŁAŚCIWE WNIOSKI, PODCINAĆ W ZARODKU ICH KORZENIE, ABY SIĘ WIĘCEJ NIE ROZRASTAŁY, ABY UNIKNĄĆ ICH POJAWIENIA SIĘ NA PRZYSZŁOŚĆ.

Z Referatu Bolesława Bieruła,
wygłoszonego w dniu 21 stycznia 1955 r.
na III Plenum KC PZPR

KAMENIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 3 (109)

Jak kamień rzucony w wodę wywołuje na jej powierzchni powstawanie koncentrycznych kół o mniejszym lub większym promieniu, tak i śmierć człowieka, zależnie od wartości dorobku, jaki po sobie zostawił, od roli, jaką w życiu spełniał, od położonych przez niego zasług, znajduje oddźwięk w dziesiątkach czy setkach, tysiącach czy milionach serc i mózgów ludzkich. Im wybitniejsza, im większa jednostka, tym odczucie straty z jej odejściem ma szerszy zasięg. Bywa i tak, że ogarnia on cały naród, a czasem i ludzkość.

Naród polski przeżywa boleśnie nagły zgon Bolesława Bieruta, a może najdotkliwiej odczuwają go mieszkańcy Lublina: tu przecież upłynęło jego dzieciństwo, długie lata młodszej pracy i tutaj również znalazła ona swe ukoronowanie w chwili, gdy właśnie w tym samym Lublinie Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej stał się żywym symbolem odradzającej się niepodległości Polski.

Ale nie o działaczu partyjnym, nie o prezydencie Polski Ludowej, nie o pierwszym sekretarzu Komitetu Centralnego PZPR, nie o mężu stanu pragniemy na łamach „Kamienia” wspominać. Myślimy o stosunku Bolesława Bieruta do kultury. Ścisłej — do kultury polskiej.

Gdy od tej strony zastanowimy się nad życiem tego człowieka, jakąż w nim pod tym względem znajdziemy żelazną logikę.

A więc najpierw uczeń biorący udział w strajku szkolnym, walczący o polski język wydawczy. Potem usunięty ze szkoły roznosiciel gazet. Później robotnik w drukarni, składacz i łamacz dzienników, zecer. Współredaktor konspiracyjnego pisemka młodzieżowego „Wyzwolenie”. Współpracownik stowarzyszenia „Przyszłość”, pozornie walczącego tylko z alkoholizmem, ale w istocie mającego również na celu postępową działalność oświatową wśród młodzieży. I nieustanna praca nad sobą, praca samouka, który po dziesięciu godzinach zawodowych czynności znajdował jeszcze czas na rozczytywanie się w książkach i gazetach.

A potem w Warszawie współpraca z radykalnym pismem ludowym „Zaranie” — artykuły w dodatku do niego „Młodzi idą”. Równoległe z tym działalność oświatowa wśród robotników.

I znowu Lublin. Lata okupacji austriackiej w czasie pierwszej wojny światowej. Lubelska Spółdzielnia Spożywców. Ukrywający się pod fałszywym nazwiskiem jako Jerzy Bielak organizuje świetlice i biblioteki.

A kiedy już po powstaniu państwa polskiego w r. 1919 wejdzie w skład władz naczelnych Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców, kładzie zawsze nacisk na pracę wychowawczą i oświatowo-kulturalną każdej kooperatywy.

Działacz Uniwersytetu Ludowego w Warszawie, współpracownik komunistycznej spółdzielni księgarskiej „Książka” i znowu organizator spółdzielczy kierujący działalnością oświatowo-kulturalną — tym razem w Zagłębiu Dąbrowskim.

I w więzieniu będzińskim nie przerwie tego rodzaju pracy prowadząc dla współwięźniów wykłady z historii ruchu robotniczego w Polsce.

A lata pobytu na emigracji: Praga, Wiedeń, Sofia i Moskwa to dalsze etapy ustawicznej pracy nad sobą, nad pogłębianiem swej wiedzy.

I powrót do Polski. MOPR. Współpraca dziennikarska z nielegalną „Czerwoną Pomocą” (artykuł w obronie praw więźnia) i znowu — za kratami: Rawicz, a tam jeszcze pedagogika więzienna.

Czyż nie jest więc logiczną konsekwencją takiej z górą trzydziestoletniej zaprawy kulturalnej w życiu Bolesława Bieruta, że z chwilą, gdy zajął On czołowe stanowisko w Polsce Ludowej, stał się w niej gorącym opiekunem wszystkiego, co się z kulturą wiąże? Że ten syn matowego chłopca, ten robotnik jako prezydent Państwa, jako pierwszy sekretarz Partii, najczystsza, literacką niemal polszczyzną zabierał głos na różnych zjazdach kulturalnych, w czasie różnych uroczystości ku czci naszych wielkich artystów, pisarzy czy przy innych okazjach związanych ze sprawami kulturalnymi (otwarcie radiostacji wrocławskiej, odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie, zjazdy nauczycielskie, list do Kongresu Nauki Polskiej i tyle innych wypowiedzi)? Sztuka polska, literatura, nauka miały w nim zawsze szczerego przyjaciela, pomocnika, nieraz mądrego doradcę.

A wszystkim poczynaniom jego na tym gruncie towarzyszyło z jednej strony głębokie poszanowanie naszych postępowych tradycji kulturalnych, a z drugiej — postulat konieczności przeobrażenia kulturalnego Polski tak, by nasza nauka, literatura, sztuka, nasycone nową socjalistyczną treścią, stały się własnością mas robotniczych i chłopskich — całego narodu, gdyż rozumiał, że nie da się zrealizować rewolucji gospodarczej bez rewolucji kulturalnej.

Lecz skoro o kulturze tu mowa, jeszcze o jednej, niezmiernie ważnej, a nie wszystkim mężom stanu dostępnej — o kulturze uczucia należy wspomnieć. Od najmłodszych lat był uczynny dla wszystkich, mimo słabego zdrowia już w tym wieku pomagał rodzicom swymi szczupłymi zarobkami. Czyż nie jest wymowny i wzruszający ten drobny szczegół z jego życia, że biednej schorowanej staruszce — sąsiadce chłopiec stale wyrywał wiadro, aby oszczędzić jej sił i przynieść jej wody ze studni? I to ciepło w stosunku do ludzi, ta serdeczność i prostota, manifestujące się wtedy, towarzyszyły mu do końca życia nawet na najwyższych stanowiskach w Państwie.

Grupka literatów lubelskich, która wiosną 1954 roku po zakończeniu Zjazdu ZLP znalazła się w gronie pisarzy zaproszonych na przyjęcie do Belwederu, nie zapomni nigdy wrażenia, jakiego doznała przy osobistym zetknięciu się z Bolesławem Bierutem. W ujmującym uśmiechu Gospodarza, w naturalnej prostocie jego obejścia, w pozawawionej dystansu przyjacielskiej atmosferze jaką potrafił wytworzyć — nie było nic oficjalnego, żadnej sztywności, wyczuwało się po prostu tradycyjną staropolską gościnność.

I taki pozostał w naszej pamięci Bolesław Bierut.

Jerzy Mikke

OLBRZYM CZYNU

w 140 rocznicę założenia Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego

W świadomości przeciętnego Polaka Stanisław Staszic jest przede wszystkim czołową postacią w historii literatury XVIII wieku — płomiennym bojownikiem walki o sprawiedliwość społeczną i niepodległość w piśmiennictwie naszym. Jest znakomitym publicystą i ideologiem okresu Sejmu Czteroletniego, którego imię wymienia się jednym z obok nazwisk Kołłątaja i Jakobinów polskich. Na tym jednak urywa się przeważnie wiedza ogółu o dalszych dziejach i czynach autora „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego”. Ktoś bąknie czasem o założeniu kopalni, ktoś inny o jakichś zasługach dla nauki, jeszcze ktoś o Tatrach czy Hrubieszowie lub o Pałacu w Warszawie nazwanym jego imieniem.

Ta zdumiewająca a niemal powszechna nieznamość życia i dorobku największego olbrzyma czynu, jakiego wydała Polska, wynika stąd, że postać Staszica zajmuje o wiele więcej miejsca w podręcznikach literatury niż w historii. Zaiste wielki to paradoks, że Staszic—publicysta prze-

ślania badaczom, nauczycielom, autorom książek szkolnych i pisarzom Staszica—uczonego, ministra, budowniczego przemysłu, współtwórcę nowoczesnej gospodarki narodowej, społecznika, organizatora nauki i działacza oświatowego, filantropa — człowieka, który swą niestrudzoną pracą wypełnił pierwsze ćwierćwiecze dziejów polskich ubiegłego stulecia! „Gdyby wszystkie jego dzieła i prace były w jedno zebrane, potomność nie chciałaby wierzyć, iżby jeden człowiek mógł tylu trudom podołać” — powiedział o nim rektor Uniwersytetu Warszawskiego Ks. Szwejkowski w czasie przemówienia pogrzebowego 24 stycznia 1826 r. Mylił się! „Potomność nie chciałaby wierzyć”, gdyby wiedziała...

Wielki mieszczanin

Druga połowa życia Staszica wiąże się nierozdzielnie z okresem powstawania kapitalizmu w Polsce, z wzmoczoną aktywnością mieszczaństwa, z czasami potężnego wyzwolenia energii gospodar-

czej narodu pozbawionego już wówczas niepodległości.

Stanisław Staszic stanowi żywą personifikację polskiego mieszczaństwa na jego bohaterskim etapie historii. Dzieje jego życia niezwykle wiernie obrazują drogę wielkiego awansu społecznego, jaki wraz z nim i pod jego wpływem przeszła w ciągu pół wieku polska burżuazja. Zaczyna swą karierę jako ubogi wikary a zarazem wychowawca synów magnackich — u schyłku życia zostaje ministrem, pierwszym ministrem mieszczańinem! Zaczyna od ciulania grosza, z czasem nabywa majątki ziemskie na nazwisko swoich szlacheckich przyjaciół, bo jako plebejusz nie ma możności kupna dóbr, w ostatnich latach może już dzięki zdobyciom burżuazji zalegalizować posiadanie folwarków, a w testamencie pozostawia krajowi i społeczeństwu ogromne kapitały i nieruchomości.

Staszic — mieszczanin jest pierwszym w Polsce filozofem pracy społecznej. Filozofem i realizatorem zarazem. Działaczem, który każdą teorię sprawdza doświadczalnie. Wie, że rozwój i siła kraju leży tylko w intelektualnym i ekonomicznym trudzie całego narodu. Czymże on się nie zajmował? Chyba tylko astronomią!

Od przekładów Homera po geologię, od pomiarów Tatr i statystyki do filozofii i historii — wszystkie dziedziny myśli i czynu pasjonowały go ogromem niewyzyskanych możliwości. On pierwszy u nas przewidział nadrzędne znaczenie nauk przyrodniczych w świecie budzące się kapitalizmu. Głosząc związek nauki z życiem twierdził, że: „uczeni potąd nie odpowiadają swemu powołaniu, swemu w towarzystwach ludzkich przeznaczeniu.. dopokąd ich umiejętność nie nadaje fabrykom, rękodzielnom oświecenia, ułatwień, kierunku, postępu“.

Organizator życia naukowego

Szerszą działalność publiczną rozpoczyna jako uczyony i organizator nauk. W 1800 r., kiedy powstaje Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, spotykamy jego nazwisko wśród najbardziej czynnych członków, w cztery lata później zostaje wiceprezesem, a w 1808 r. prezesem Towarzystwa i godność tę pełni aż do końca życia. Pod wpływem Staszica Towarzystwo objęło swym zasięgiem nie tylko zagadnienia teoretyczne, lecz i praktyczne: organizuje dyskusje i konkursy w sprawach aktualnych, gospodarczych, społecznych, popiera postęp techniczny, opiekuje się młodymi naukowcami, zacieśnia kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi, trzyma rękę na pulsie życia naukowego kraju. Kiedy Żyd z Hrubieszowa Anatol Stern wynalazł maszynę do rachowania, Staszic sprowadza go do Warszawy, łoży na jego wykształcenie, a z czasem mianuje członkiem Towarzystwa. Kiedy berliński profesor John otrzymuje z fermentacji owocowej kwas bursztynowy, Staszic natychmiast sprawdza wartość tego odkrycia chemicznego dla potrzeb praktycznych. Jego entuzjazm dla nauki nie miał granic. Zaraził nim liczne grono uczonych. Za jego sprawą Towarzystwo

Przyjaciół Nauk stało się jednym z czołowych ośrodków organizacji życia naukowego w Europie.

Ale nie tylko sam patronuje tym pracom, nie tylko sam prowadzi badania naukowe — staje się bezprocentowym „bankierem polskiej nauki“, jak go wówczas nazywano. Z własnych funduszy buduje dom na Kanonii, później zaś na Nowym Świecie i oddaje je na siedzibę Towarzystwu. Staszic jest również jednym z fundatorów pomnika Kopernika w Warszawie, który zdobi naszą stolicę.

W Księstwie Warszawskim a później w Królestwie Kongresowym Staszic rozpoczyna działalność państwową: w Księstwie Warszawskim jako



Portret wykonany przez Fr. Sobolewskiego w r. 1826 — Znajdzie się na plebanii w Hrubieszowie.

radca stanu i członek Izby Edukacji, w Królestwie Kongresowym zostaje zastępcą ministra Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych. W ciągu kilkuletniej kadencji założył bądź przyczynił się do pomyslnego rozwoju takich zakładów naukowych, jak: Szkoła Lekarska, Szkoła Położnicza, Uniwersytet Warszawski, Szkoła Prawa i Administracji, Instytut Agronomiczny, Szkoła Politechniczna, Szkoła Główna Górnicza w Kielcach, Konserwatorium Muzyczne w Warszawie, 3 seminaria nauczycielskie, 12 szkół wojewódzkich czyli gimnazjów. „Słowem wszystkie zakłady nauk — jak powiedział rektor Szwejkowski — umiejętności przemysłu, jakimi szczyli się nasz naród od czasu odrodzenia swego — jego bliższemu przewodnictwu winne są albo swój początek, albo wzrost i zakwitnienie“.

Szczególną uwagę zwraca na szkolnictwo elementarne na wsi, na rozwój oświaty ludowej, pomnażając wydatnie liczbę szkół, podnosząc kwalifikację nauczycieli, reformując program publicznego nauczania, opracowując nowe, przystosowane do aktualnych potrzeb wychowawczych

podręczniki. Jednocześnie propagował niższe szkolnictwo zawodowe, zainicjował nauczanie niedzielne dla młodzieży rzemieślniczej i robotniczej. Był niestrudzony.

A jednocześnie w tym okresie życia napisał: „O ziemiórództwie Karpatów“, wyd. w 1815 r. (znakomite dzieło geologiczne budzące po dziś dzień podziw specjalistów), „O statystyce Polski“ wyd. w 1807 r. (niezwykle wartościowa rozprawa ekonomiczna), kilka broszur politycznych i wreszcie najobszerniejsze dzieło pisarskie swego życia „Ród ludzki“, wyd. w 1820 r., w którym zawarł szereg głębokich uwag filozoficznych i historycznych. „Dzieło piekielne groźniejszego wroga ludzkości anizeli Marat i Robespierre“, które Wielki Książę Konstanty kazał skonfiskować i sam ponoć palił je w kominku, aby zniszczyć „jakobińską zarazę“

Budowniczy przemysłu

Czy to jeszcze nie wszystko? — ma się ochotę wykrzyknąć z niedowierzaniem. O nie, przeciwnie. Nadchodząca starość jakby spotęgowała jeszcze niespożyta energia Staszica. Ma lat 60, gdy niezależnie od funkcji zastępcy ministra oświaty zostaje mianowany dyrektorem Wydziału Przemysłu i Kunsztów. O jego działalności gospodarczej niech mówią cyfry. W 1816 r. obejmując naczelny zarząd przemysłu krajowego w Królestwie Kongresowym

zastał:

państwowych kopalń żelaza	9
kopalń miedzi	2
wielkich pieców hutniczych	3
kopalń węgla kamiennego prod. 20.000 korcy	2
kopalń otowiu	—
kopalń cynku	—
kopalń węgla brunatnego	—
kopalń glinki	—
zakładów hutniczych i górniczych	87
w 1823 r. pozostawił swojemu zastępcy:	
państwowych kopalń żelaza	37
kopalń miedzi	3
wielkich pieców hutniczych	9
kopalń węgla kamiennego o prod. 526.000 korcy	3
kopalń otowiu	6
kopalń cynku	7
kopalń węgla brunatnego	1
kopalń glinki	1
zakładów hutniczych i górniczych	246

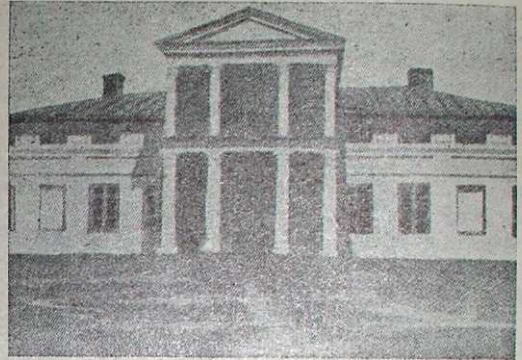
Cyfry te obejmują wyłącznie inwestycje i częściowo produkcję przemysłową. A gdzie budowa dróg i mostów, którą Staszic na szeroką skalę prowadził, gdzie prawodawstwo socjalne, które w oparciu o wzory zachodnie zaszczepiał na polskim gruncie? Cyfry te nie wspominają również o wielkich zasługach na polu szkolnictwa zawodowego, ani o opiece nad handlem, ani o reformach cechowych, ani o licznych choć nie zawsze udanych eksperymentach gospodarczych, podyktowanych wiecznie tą samą troską, aby „Polska została wolna, możną i sławną“.

„A gdy Kocham Polskę, gdy zapomnieć nie mogę, że urodziłem się Polakiem, jakby ten kraj ratować, myślę ustawicznie“.

On nie tylko myślał — czynił.

Hrubieszowskie dzieło Staszica

W mroku zapomnienia ginie również jeden z najchlubniejszych czynów Staszica, który na zawsze związał go z ziemią lubelską — założenie Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego. W tym roku mija właśnie 140 lat od chwili, gdy Staszic „wszelkie grunta dworskie między mieszkańców



Pałacyk w Dziekanowie

Dawna rezydencja prezesów i kancelarii Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego. W dworku tym mieszkał Staszic podczas swego pobytu w dobrach hrubieszowskich.

majątności rzeczowej rozdał, dochody z niej na użytek gminy odstąpił i zamierzoną przez siebie dla mieszkańców tejże gminy... instytucję Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego... zaprowadził“.

Po raz pierwszy w Polsce od czasów komunańskich pojawia się instytucja gminy czyli organizacja gospodarki oparta na zasadach spółdzielczych, której zadaniem jest „wspólny mieszkańców użytek“. Cele instytucji określa ofiarodawca: „Chociaż mieszkańcy są dziedzicznymi posiadaczami gruntów, niemniej są zawsze uczestnikami całości z obowiązkiem wypełnienia warunków, jakie obdarowujący celem utrzymania gminy przepisuje“. Jak z tego widać, członkowie Towarzystwa nie otrzymują darowizny z łaski. Są uczestnikami instytucji powołanej do wypełnienia epokowego zadania: mają dowieść, że „przez stowarzyszenie się stan natury się doskonali“, że „własne dobro nie różni się od dobra Towarzystwa całego“. Mają dowieść, że są zacznym nowogoj idealnego społeczeństwa. Narzędziem szczególnej łaski, jaką obdarzył ich „duch rozwoju ludzkości“. Dlatego udział w Towarzystwie nakłada na nich specjalne obowiązki moralne i gospodarcze. Są zobowiązani do udzielania pomocy „w nieszczęściu — w czasie wojny, pożaru, gradobicia i nieurodzaju“. Cięży na nich obowiązek opieki nad sierotami, starcami, inwalidami, mają wspomagać chorych i biednych — utrzymywać szpital

i magazyny zbożowe na wypadek klęski głodowej oraz bank kredytowy.

Do naczelnych zadań Towarzystwa należy popieranie oświaty. Stowarzyszeni mają utrzymywać co najmniej 4 szkoły wiejskie, jedno progimnazjum w mieście Hrubieszowie oraz zapewnić najzdolniejszym uczniom stypendia na dalsze studia.

Cała organizacja Towarzystwa jest rzutowana w przyszłość, oparta na wierze w człowieka i w postęp. Tym celom służą poszczególne instytucje Towarzystwa. Bank ma udzielać kredytów na inwestycje przemysłowe i rolnicze, na zakup

niego i sześciuosobowej Rady Gospodarczej, wybieranej przez magistrat hrubieszowski oraz poszczególne rejony wiejskie na dwa lata. Nieprzestrzeganie umowy przez członków może pozbawić ich prawa własności gruntu. Gmina jest zatem instancją wyższego rzędu od własności prywatnej i wszystkie dążenia indywidualne udziałowców są jej podporządkowane.

Jak z tego widać, Staszycowi przyświecała Rousseau'ska idea umowy społecznej, owa naczelną zasadą filozofii Oświecenia, która stoi u kolebki nowoczesnej demokracji europejskiej. Towarzystwo



Rada Gospodarcza oraz pracownicy „Towarzystwa Rolniczego ratowania się wspólnie w nieszczęściach” Fundacji Staszica w Hrubieszowie. Rok 1925.

Siedzą od lewej ku prawej: radny S. Groma z Czerniszyna, radny M. Gajewski z Bohorodocy, wiceprezes burmistrz P. Makarewicz, prezes G. Grotthus, radny Franciszek Nowak z Jarosławca, radny Hapoński z Hrubieszowa, radny I. Gajewski z Dziekanowa. Stoją: nadleśny M. Rejni, radny J. Lizut ze Szpiokoła, doktor L. Dubiszewski, kasjer S. Zawadzki, kontroler M. Górski, radny J. Zwoliński z kolonii „Staszica”.

maszyn, narzędzi, na udoskonalenie produkcji i na budownictwo mieszkaniowe, ale wyłącznie budynków murowanych. Dochody uzyskane z przedsiębiorstw komunalnych, jak gorzelnie, tartak, młyn, folusz i stawy winny być przeznaczone na użytek powszechny: z jednej strony na usługi społeczne — „szkoły, szpital, akcja opieki socjalnej”, z drugiej zaś na zakup nowych terenów od okolicznych dziedziców dla „powiększenia szczęścia większej liczby rodzin”. We wszystkich artykułach kontraktu uderza bardzo nowoczesne i rozumne wiązanie potrzeb wsi z potrzebami miasta, współdziałanie zajęć rolniczych i przemysłowych.

Nad wypełnieniem zobowiązań Towarzystwa wobec członków i poszczególnych członków wobec gminy czuwa Zarząd złożony z prezesa dożywot-

bowiem jest niczym innym dla Staszica jak wielkim eksperymentem społecznym. Ono ma wykazać praktyczną wartość teorii reformatorskich fundatora. Ono ma ucieleśnić jego wieloletnie marzenia o nowej epoce, w której nie będzie wyzysku i krzywdy, w której „człek człekowi bratem”... Ono ma stać się wyspą szczęśliwości chłopskiej, polską utopią na wzburzonym morzu przemocy feudalnej.

Godnym podziwu jest upór, przeczność i pasja, z jaką Staszica urzeczywistnia to najbardziej umiłowane dzieło swego życia. Bo spojrzmy tylko na genezę Towarzystwa. W 1801 r. nabywa dobra hrubieszowskie. Okoliczności, jakie temu towarzyszą, są dość niezwykle. Staszica-mieszczanin nie ma prawa do posiadania dóbr ziemskich. Kupuje je zatem anonimowo za pośrednictwem Aleksan-

dra Sapięhy i jego żony Anny Zamojskiej. Eks-gubernier synów magnackich, eksprobosz z Turubina Lubelskiego, samotnik, abnegat, w wytartej kapocie, dziwak latający własnorecznie buty, aby zaoszczędzić na szewcu, stał się w ten sposób faktycznym posiadaczem ogromnej fortuny złożonej z 14 tysięcy morgów urodzajnej ziemi wraz z miastem Hrubieszowem, liczącym jakoby 4 tys. mieszkańców!

Jakimi wyrzeczeniami okupiona była namiętność tego szlacheckiego filantropa?

„Przekonałem się — pisze w swojej autobiografii — że tylko miłość bliźnich, ziszczona przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi. Z nimi bowiem ma człowiek najmilsze związki przez wrodzoną mu ludzkość. Najprzyjemniejsze uczucia znajdują się w dobroczynności dla ludzi. Przynajmniej postępuje najlepiej do celu swojego Stwórca, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi. Ten zaś, kto przez swoje życie poprawi i udoskonali los współczesnych lub całych plemion następných, ten dopełnia całkowicie swojego tu istnienia przeznaczenie, czyli te zamiary, jakie najwyższe jestestwo w jego stworzeniu założyło.

W takim przekonaniu przedsięwzięłem całe moje życie na to poświęcić, abym mógł kilku lub kilkanaście familij los polepszyć i swobodniejszym uczynić ich życie. W tej chęci wczesnie i stale na całe życie ograniczyłem wszystkie moje potrzeby, aby z ich oszczędności dla drugich, ode mnie potrzebniejszych zrobić ofiarę. Szczupły majątek, jaki wzięłem i to, co przez całe życie zebrać mogłem, z największą starannością ku temu raz powziętemu celowi obracałem nieprzerwanie. Byłem stały w przedsięwzięciu, raz obranego sposobu życia nie zmieniłem nigdy aż do śmierci.

Z takich, przez 50 lat z oszczędności zbieranych, fundusów kupiłem włość Hrubieszowską i urządziłem ją dla pięciu kilkuset familij, nadawszy im grunta z prawem dziedzictwa“.

Dopiero w 1811 roku po przyłączeniu Hrubieszowa do Księstwa Warszawskiego, w którym obowiązywał demokratyczny Kodeks Napoleoński, Staszic mógł stać się nominalnym właścicielem dóbr hrubieszowskich. Jednym z pierwszych aktów znosi pańszczyznę i wszelkie ciężary feudalne, nadaje ziemię najuboższym chłopom i przystępuje

do organizacji Towarzystwa, które po kilku latach istnienia zostało zatwierdzone przez cara Aleksandra i rząd Królestwa.

Z dumą ale i z troską serdeczną patrzył sędziwy reformator na swoje dzieło. Jeszcze w przeddzień śmierci zwraca się do najbliższego przyjaciela, Kajetana Koźmiana: „Pamiętaj strzec i opiekować się moim Towarzystwem... Zasłaniaj tę instytucję zarówno od zbytńskiego mieszania się rządu, jak nadużyć tych, których nad nią przełożyłem, a szczególnie nie dozwól jej szkalować obmowami i plotkami egoistów i ...niechęcią niektórych sąsiadów. Niech się rozwinie, skutki jej będą znakomite i pożyteczne dla kraju, zaklinam cię o to na miłość ojczyzny!“.

Już najbliższe lata po śmierci wielkiego mieszczanina miały potwierdzić słuszość jego obaw. Od upadku powstania listopadowego do ostatecznej likwidacji autonomii Towarzystwa w 1885 r. przez władze carskie — gmina hrubieszowska zmagająca się nieustannie bądź z nadużyciami i intrygami swoich urzędników i członków, bądź z ustawiczną ingerencją administracji rosyjskiej, zmierzającej do ograniczenia samorządu. Jednakże nawet dążenia rusyfikacyjne caratu nie wyrządziły takiej szkody działalności Towarzystwa, jak małość i zawiść ludzką, jak ciemnota jednych, cynizm i chytryść drugich.

A jednak pomimo wszystkich błędów organizacyjnych, jakich nie ustrzegł się Staszic (np. wprowadzenie dziedzicznego urzędu prezesa, uznanie ogromnego rozwarstwienia klasowego i majątkowego członków Towarzystwa za stan naturalny), pomimo szukan caratu i ułomności ludzkiej, gmina hrubieszowska stanowi po dziś dzień jeden z najpiękniejszych pomników humanitaryzmu i bezinteresownej miłości ojczyzny. I to nie tylko w intencjach twórcy, ale w wieloletniej próbie czasu, w zmienionych i najbardziej niedogodnych warunkach politycznych Towarzystwo spełniło w dużej mierze swoje zadanie. Reformy staszicowskie wyprzedziły bowiem o 50 lat uwłaszczenie włościan, przywróciły chłopom po wiekach pańszczyzny godność ludzką, wskazały na możliwość lepszego istnienia i rozwoju w oparciu o zasady zbiorowości, o nowe wyższe formy współżycia społecznego.

Jerzy Mikke

PASJA ŻYCIA I WALKI

(W 45 rocznicę śmierci Wacława Nałkowskiego)

Było to czterdzieści pięć lat temu. Ostry dzwonek telefonu przerwał ciszę maleńkiego pokoiku. Ręka mechanicznie podjęła słuchawkę z widełek.

— Słucham, pogotowie...

Jakiś nieznaną mężczyzna, tak gdzieś po pięćdziesiątce, upadł na Mariensztacie. Chyba atak...

W pół godziny później w dyżurce szpitala na Pradze, zamienionej przez lekarzy w separatkę — rozegrał się niemy dramat. „Nieznany mężczyzna“ poniósł pierwszą i ostatnią porażkę w swym pięknym życiu, które potrafił „przeżyć — jak człowiek“.

W mroźny, zimowy dzień 31 stycznia 1911 roku za trumną zmarłego ruszył zwarty orszak uczniów, słuchaczy i przyjaciół, żegnających tego, który „w społeczeństwie najoświecieńszym i posiadającym najbogatszy zasób sił naukowych szedłby w pierwszym ich rzędzie między mistrzami, u nas (był) prywatnym nauczycielem elementarnej wiedzy, wyrobnikiem podręczników, kruszącym marnotrawczo drogocenną bryłę swego mózgu dla zaspokojenia potrzeb codziennych, a mniej znanym ogółowi niż wielu twórców piany literackiej, po której nie zostaną nawet echa jej szumu“ (Aleksander Świętochowski).

Na przeciągający ulicami ku Powązkom kondukt patrzyli zza krat Pawiaka rewolucjoniści. Oni także żegnali swego sojusznika w walce o Polskę Ludową, zapatrzeni w leżący na trumnie wieniec z cierni, związany długą czerwoną wstęgą, którą policja kazała schować, nawet po śmierci nie dając zmarłemu spokoju.

„Opiekunowie porządku publicznego“ wiedzieli jednak co robią. Wieniec z cierni bowiem — był symbolem tragicznego, trudnego, ale zwycięskiego życia, a czerwona wstęga — symbolem ostatecznych przekonań człowieka, który całe życie poświęcił niezłomnie walce o sprawiedliwość społeczną.

* * *

„Wacław, Piotr, Ludwik, trzech imion, Nałkowski; rodził się 19 listopada 1851 roku, we wsi i gminie Nowodwór, w powiecie łukowskim, guberni lubelskiej, religii rzymsko-katolickiej, stanu szlacheckiego, sposobu bycia przy rodzicach, wzrostu miernego, twarzy ściągłej, włosów ciemno-blond, oczów niebieskich, nosa, ust miernych, brody okrągłej, znaki szczególne żadne. Prezydent miasta Lublina w powiecie i guberni lubelskiej zaświadcza niniejszym, jako właściciel tej książeczki, Wacław, Piotr, Ludwik, trzech imion, Nałkowski powyżej opisany a dziś lat 15 wieku swego liczący, zapisany został w księgi ludności stałej miasta Lublina“.

Tyle tylko o związku Nałkowskiego z Lublinem i Lubelszczyzną mówi nam wypis z książeczki legitymacyjnej oznaczonej numerami: N.K. 715 i N 1514/67.

Nieocenioną natomiast kopalnią wiedzy o wielkim geografie i krytyku są materiały zebrane przez jego córkę, znakomitą powieściopisarkę, Zofię Nałkowską, która do ostatniej chwili życia pracowała nad książką o ojcu. Niestety, śmierć nie pozwoliła złożyć ojcu najpiękniejszego hołdu, na jaki ją było stać, praca została przerwana i w pełnym wydaniu dzieł pisarki ukażą się tylko fragmenty ostatniego jej dzieła.

Oto jak w jej relacji wyglądały pierwsze lata Nałkowskiego: „Był jedynakiem. Rodzice Wacława, ubożając coraz bardziej, przenosili się parokrotnie z dzierzawy na dzierzawę i kupili ostatecznie niewielki folwark Wrotków pod Lublinem. Z dziecinnych notatek Wacława widać, jak ciężko odczuwał te zmiany, z żalem opuszczał każdy ogród i dom, tęsknił długo za małymi przyjaciółmi, którzy zostali na miejscu. Charakter Wacława kształtował się pod działaniem łagodnej, uczuciowej, nawet piszącej poezje matki, Celiny z Rudnickich, i gwałtownego, zawiedzionego w swym zamiłowaniu do skrzypiec i rzeźby, a nie lubiącego wiejskiej gospodarki ojca Michała. Jedynak, pieszczonej przez matkę i surowo za drobne przewinienia karany przez ojca — wyrobił w sobie dużą wrażliwość uczuciową i niepohamowaną ambicję, domagającą się zadośćuczynienia za gorycze i krzywdy dzieciństwa“.

Sytuacja materialna, w jakiej znajdowali się rodzice Wacława, była typowa dla ziemiaństwa, które po 1864 r. zaczęło się deklasować. Proces ten w przypadku Nałkowskich przyspieszał jeszcze fakt, iż nie mieli oni zamiłowania do pracy na roli. Michał Nałkowski potrafił w rekordowo szybkim tempie tak zaniebierać dzierzawę, że trzeba było ją porzucić i szukać nowego miejsca. Poza muzyką, jedyną jego pasją była praca w warsztacie, który urządził we własnym pokoju. Całymi godzinami Wacław przyswiewał ojcu, gdy ten rzeźbił lub heblował drzewo. Chłopiec był świadkiem i uczestnikiem przemian, które degradowały jego klasę społeczną, wszystkie te wypadki przeżywał. Tu właśnie trzeba szukać tej niepospolitej ambicji i wielkiej pasji życiowej Wacława, który postanowił wybić się ponad światek karłującego ziemiaństwa i zabłysnąć gwiazdą pierwszej jakości. Zaczęło się, rzecz jasna, od rzeczy drobnych.

„Chcę wycelowania we wszystkim — pisze Nałkowski — wychodziła mi zawsze na złe. Tak we Wrotkowie, żyjąc jak dziecinniej natury, dosiadałem najdzikszych koni — raz koń się ze mną

wywrócił. Chciałem od razu pływać jak najlepszy nurkowiec, o których czytałem. Pływałem do zupełnego opadnięcia z sił. Gdy dałem nurka, siedziałem długo pod wodą choć mi tchu nie stawało. I mało com się nie utopił, gdy za wcześniej usta otworzył". Z czasem — ta pasja przeszła ze sportowych rozrywek na naukę.

Po sprzedaży Wrotkowa ojciec Wacława został urzędnikiem Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego w Lublinie. dokąd przeniosła się także cała jego rodzina. Wacław, mimo że był uczony w domu tylko przez matkę i korepetytora, dobrze zdał w 1864r. egzamin wstępny do liceum lubelskiego. Z miejsca zyskał sobie tytuł najlepszego ucznia i nawet ciężkie zapalenie płuc nie przeszkodziło mu ukończyć klasy I z nagrodą. Odtąd nagrody powtarzały się regularnie co rok aż do ukończenia nauki. A trudności stawały się coraz to większe. Do domu zakradła się nędza — jedyny odtąd przyjaciel, który nie opuścił Nałkowskiego aż do śmierci. Już jako uczeń II klasy musi myśleć o samodzielnym utrzymaniu się, zarabiając na życie korepetycjami. A mimo to wszystkie wolne chwile poświęca nauce.

„Chciałem — pisze Nałkowski — w nauce przejść profesorów, gdy mnie który na czym złapał, martwiłem się, traciłem sen i apetyt, a natomiast pracowałem w dwójnasób... A pracowałem nie tylko nad tym, co miałem zadane w szkole; aby nie zapomnieć swego języka, pracowałem w domu nad literaturą i historią Polski. Mając zamiłowanie do matematyki i geografii, a będąc w gimnazjum filologicznym, gdzie te nauki nisko stały, musiałem swych wiadomości dopełniać: zamiast czas wolny poświęcać zabawom, nieraz całe dnie świąteczne przepędzałem przed tablicą, rozwiązując zagadnienie za zagadnieniem. Tak przerobiłem kilka książek mieszczących ponad tysiąc najtrudniejszych zagadnień“.

Głód wiedzy, godziny ślęczenia nad książkami i mapami — wydały plon. Nałkowski został uznany za pierwszego w szkole matematyka i geografę. Stał się „etatowym“ obiektem zainteresowań wizeratorów. Jednocześnie jednak organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa. Po chorobie płuc przysłała choroba oczu, Wacław musiał chodzić do kolegów i prosić ich, by czytali mu głośno lekcje, za co odwizgiwał się im rozwiązywaniem z pamięci i uczeniem najtrudniejszych zadań matematycznych. Szkołę w Lublinie ukończył Nałkowski ze złotym medalem w 1871 r. Jego wielki przyjaciel i wychowawca, nauczyciel geografii Aleksander Szumowski przepowiedział swemu najzdolniejszemu uczniowi świetną przyszłość. Z jego też listem polecającym pojechał Wacław do Krakowa i tu rozpoczął studia w zakresie matematyki, fizyki, astronomii, geografii matematycznej i kartografii.

Żegnając Lublin, żegnał także na zawsze rodziców. W kilka miesięcy po wyjeździe, Lublin przypomniał się Wacławowi w postaci depezy o śmierci matki. Brak pieniędzy nie pozwolił mu nawet przyjechać na pogrzeb. W dwa miesiące później zmarł ojciec. I tym razem nie sążone mu

było pożegnać najbliższego mu człowieka. Dopiero po kilku miesiącach dorobił się sumy, która pozwoliła kupić bilet do Lublina i załatwić tu sprawę spadkową. Przyniosła mu „aż“... 200 rubli.

Rok 1872 to data, która odbiera Nałkowskiego Lublinowi bezpowrotnie. Za namową swego serdecznego lubelskiego kolegi Antoniego Nieściona wyjechał Wacław na studia do Instytutu Inżynierii w Petersburgu. Po roku, bez pieniędzy, bez pracy i bez stypendium, ale z wycieńczonym organizmem wrócił do Krakowa.

Tu zamieszkał początkowo gdzieś nisko nad samą Wisłą, a później na przedmieściu Zwierzyńskim. Żył jak nędzarz, o głodzie i chłodzie. „Latem — cytuję za Zofią Nałkowską — zbierał przy drogach pokrzywy, które gotował sobie na jarzynę. Zimą w jednym z tych mieszkań zamarzała woda w wiadrze i atrament w butelkach. Wynikł z tego parokrotny pobyt w szpitalu, a także przerwy dłuższe w studiach“. A jednak starczyło mu siły, by nie przyjąć pomocy bogatych krewnych, mieszkających blisko niego w pałacyku.

Obraz stosunków panujących w ówczesnym świecie uniwersyteckim doskonale nakreślił Nałkowski później we „Wspomnieniach krakowskiego studenta“. Tu właśnie przedstawił swych przyjaciół: studenta który z nędzy popełnił samobójstwo, lekarza, którego młodość była łańcuchem ciężkich przeżyć i wielu innych, złączonych wspólną niedolą.

W Krakowie przeżywa Wacław pierwsze powodzenia naukowe i ...dalsze nieszczęścia i przykrości. W 1876 r. zamówiona przez Adolfa Dygasińskiego „Geografia fizyczna“, pisana w najgorszych warunkach i z całym poświęceniem, nie została wydana, ponieważ ...księgarnia zbankrutowała. Na domiar złego, powódź zalała nadwiślański pokój Nałkowskiego i rękopis pracy został w znacznej części zniszczony. Autor nie dał jednak za wygraną. W tym samym roku ukazał się pierwszy jego artykuł pt. „Kilka słów o wadach w wykładzie geografii u nas“. Kiedy Nałkowski dowiedział się, że jego „Kurs geografii szkolnej“ nie zostanie wydrukowany, przystąpił natychmiast do nowej pracy. Tak powstała słynna „Geografia fizyczna“, której Kasa Mianowskiego mimo uprzedniego zamówienia i pozytywnej recenzji — nie wydała, ponieważ okazało się, że była za bardzo „nowa“. — Po 6 latach walki o pierwszy w Polsce uniwersytecki podręcznik geografii, odmówiono Nałkowskiemu nawet... wydania wyników pracy. W ten sam sposób upadł także projekt opracowania obszernej geografii Polski, nie doszła do skutku praca nad zreformowaniem Rittera.

W 1880 r. po skończeniu studiów przeniósł się Nałkowski do Warszawy, by tu oddać się pracy nauczycielskiej, literackiej i naukowej.

Wbrew przewidywaniom profesora Szumowskiego, zamiast objąć katedrę w uniwersytecie — wybitny geograf zarabiał na życie pracą w szkołach średnich i to prywatnych, na pensjach i kursach. Do końca życia pozostanie Nałkowski „pedagogiem

walcącym". Zwłaszcza w okresie rewolucji 1905 r. walczy o postępową polską szkołę, agituje o założenie związku zawodowego nauczycieli, całymi dniami pracuje w „Przeglądzie Pedagogicznym” i później w „Nowych Torach”. Wbrew carskim „ukazom” trwa jego zdecydowana walka o zreformowanie nauczania geografii w szkołach, o język polski, o podręcznik, o nową postępową myśl pedagogiczną: o wprowadzenie zasady „rozumowości” i „poglądowości”, mapy, globusy, dyskusje... Ze stoickim spokojem przyjmował wszystkie cięsy. Nie załamał się wtedy, gdy po rocznym poszukiwaniu materiałów w Lipsku „Biblioteka matematyczno-fizyczna” odmówiła druku zamówionej przez siebie „Geografii fizycznej”, gdyż ta okazała się... „za obszerna”. Nie przerwał pracy i wówczas, gdy owoc kilku lat badań — „Rzut oka na dawną Polskę” — cenzura, nie uznając Polski historycznej, odrzuciła zupełnie. Nie doczekał Nałkowski zrealizowania swego projektu założenia już w 1886 r. Towarzystwa Geograficznego, które powstało w 32 lata później.

Niepowodzenia wpłynęły na geografa mobilizując i podniosły jego świadomość społeczną. Najlepiej oddają to słowa samego Nałkowskiego: „Ziarna wiedzy można siać tylko na gruncie przygotowanym, kto je sieje na chwasty i ciernie, ten jest dzieckiem marnującym ziarna: trzeba wprzód chwasty i ciernie wyrwać z korzeniem, oddać zgniliznie lub ogniem spopielić, a wtedy dopiero rzucone ziarno plon wyda. Tak, dziś jeszcze nie czas na siew — dziś nie nauki potrzeba, lecz walki!” (Podkreślenie moje — RR).

Geografia przestała wystarczać Nałkowskiemu, natomiast po 1890 roku coraz częściej do głosu dochodzi publicystyka i krytyka. Pisarz rzuca się w wir wypadków, stara się czynem dokumentować każde słowo. Kiedy np. ujął się za Żydem Cezarym Jellentą (N. Hirszbant), wskutek nagonki wrogów stracił posadę nauczycielską i znalazł się na bruku. A gdy „Prawda”, redagowana przez Aleksandra Świętochowskiego, również zajęła wobec Jellenty niewłaściwe stanowisko — Nałkowski, choć kosztowało go to dużo wyrzeczeń, zerwał na zawsze z pismem. Analogicznie było zresztą i z Janem Władysławem Dawidem, któremu po wielu latach niezwykle owocnej pracy odebrano stanowisko redaktora „Przeglądu Pedagogicznego” za to, że był zbyt postępowy i sławny. Nałkowski i tym razem potrafił poświęcić wszystko, by móc powiedzieć prawdę, tę prawdę, którą tak bardzo kochał. Mimo że do końca życia pozostał przeciw nauczycielem, nie zawahał się zdemaskować handlowych machinacji „Przeglądu Pedagogicznego” i zerwał z nim całkowicie kontakt na znak protestu.

W tych bojach narodził się Nałkowski — polemista, któremu dorównał chyba tylko Boy-Żeleński. Z jednej polemiki wpadał w drugą, nie znajdując wytchnienia. Prowadził ostrą szermierkę słowną z księdzem Niedziałkowskim o równouprawnienie kobiet, z Lutosławskim — o logikę,

z Siemieradzkim — o lodowce i wiele, wiele innych. Ale największym szczeblem do sławy Nałkowskiego jako publicysty stała się polemika z Henrykiem Sienkiewiczem. Raz rozpoczynając walkę z autorem „Rodziny Połanieckich” i „Bez dogmatu”, do końca życia nie wycofał się z tych bojowych pozycji.

Podnieść rękę na wielkiego mistrza, laureata Nagrody Nobla, uosobienie polskości — znaczyło stanąć do walki ze wszystkimi o wszystko. Kiedy w 1894 r. powstały „Sienkiewicziana”, nie znalazł się dla nich żaden wydawca, po 10 latach wydawca samowolnie usunął je z tomu szkiców pt. „Jednostka i ogół”, aż wreszcie autor wydał je w 1904 r. własnym nakładem. Sienkiewiczowi dedykował krytyk 4 prace, nie licząc wielu aluzji, zwrotów i fragmentów rozsianych po szkicach publicystycznych i artykułach polemicznych.

Czemu przypisać fakt, że geograf tak wiele miejsca poświęca sławnemu autorowi Trylogii?

Nałkowski zaatakował Sienkiewicza (i słusznie) za jego reakcyjną, burżuazyjną ideologię, za wystąpienia polityczne i poglądy pozostające w jaskrawej sprzeczności z piękną i postępową wymową „Latarnika”, „Janka Muzykanta”, „Szkiców węglem”, „Listów z Ameryki” i wielu innych utworów. Udział Sienkiewicza w wyborach do Dumy (w okresie Rewolucji 1905 roku), wystąpienie przeciwko strajkowi młodzieży szkolnej (domagającej się m.in. wykładania w języku polskim), ankieta w sprawie wyłączenia w Poznańskim itd. — to fakty, które stanowiły podstawę ostrego tonu artykułów Nałkowskiego. Krytyka zupełnie nie interesował artysta, istniał dla niego tylko ideolog wstecnictwa i ten właśnie był pretekstem do wystąpienia przeciwko obozowi reakcji. Bo trzeba podkreślić, że rękawica rzucona przez krytyka Sienkiewiczowi została podjęta przez całą ówczesną „śmietankę” literacką i polityczną.

Dlatego też Nałkowski musi potykać się ze Spasowiczem, Gawalewiczem, Gnatowskim, Krechowickim, Tarnowskim i wielu innymi krytykami. Oto co np. pisze w odpowiedzi hrabiemu Stanisławowi Tarnowskiemu: „W ustroju dzisiejszym, którego pan hrabia tak broni, droga prosta, uczciwa — to, jak ktoś dowcipnie powiedział, „zbytek, na który mało kto może sobie pozwolić”, ten tylko mianowicie, kto posiada na to dostateczne środki, zdobyte nieuczciwością — uczciwym może być tylko nieuczciwy. A skąd taki paradoks? — nie stąd, jak pewnie sądzi hrabia Tarnowski, że wiara w kościółek osłabła, że za mało się jeździ do Rzymu itp., lecz stąd, że jednostka uboga musi pracować na tych, co jak hrabia Tarnowski pobierają rentę od tytułów i kapitałów”.

Gdy w 1905 roku na widok rewolucji wielu „obrońców” ludu zaczęło gwałtownie wycofywać się z postępowych pozycji, literatura polska poniosła jedną z najdotkliwszych porażek. Prus, Sienkiewicz, Sieroszewski, Daniłowski, Niemojewski i inni pisarze nie zrozumieli rewolucji, zafal-

szowali jej obraz w swoich utworach, widząc tylko siłę burzącą ludu. Z literatów jeden tylko Żeromski wiernie trwał na posterunku i radośnie witał walczący proletariats — „żywy pocisk torujący drogę wolności“. Z krytyką literacką było to samo. W pánicosnym popłochu uciekał Brzozowski od wszystkiego, co postępowe, wskazując drogę innym krytykom. Na placu walki pozostał tylko Nałkowski (poza marksistowską krytyką literacką reprezentowaną przez Marchlewskiego i Krzywickiego) wydając w 1905 r. testament swej postępowej myśli — artykuł „Proletariat i twórcy“ — będący wezwaniem do walki.

„Nie dość stanąć przed budą jarmarczną i zwyczajem długo krępowanych żaków pokazywać język karczmarzowi — trzeba cały ten burżuazyjny budynek, ten przybytek podłości, ucisku i grabieży, wysadzić w powietrze i pole spod niego zaoarać! Takich bojowników w twórczości może wydać tylko ta warstwa, która wydaje dziś bojowników w życiu — warstwa proletariatu, warstwa ludu pracującego...“

Eugeniusz Gołębiowski „NIEMCY“ H. HEINEGO

Po trzynastu latach wygnania udaje się Heine w roku 1843 z Paryża do Niemiec, celem spotkania się z najbliższymi — i w wyniku tej podróży pisze poemat satyryczny pt. „Niemcy — Opowieść zimowa“.

Rzecz rozpoczyna się od wyrażonej realistycznie tęsknoty za ojczyzną, za „wonią cybucha niemieckiego, za „baranami“ i... „córkami pastora“. Na granicy ogarnia poetę wzruszenie:

*Gdym nad granicą ojczystą stał,
Żałość opadła mnie jakaś,
Serce zaczęło się we mnie tłuc
I nagle musiałem zapłakać.*

*Mowy niemieckiej pierwszy dźwięk
Witałem rzewnymi łzami,
Z rozkoszą myśląc, że wszystką krew
Serce moje wykrwawi *)*

Wzruszenie to przeistacza się jednak szybko w gorycz i bunt, wita bowiem poetę smutna niemiecka pieśń o nicości doczesnej i o „szczęściu zaziemskim“, pieśń ascetyczna, którą „tumani się lud, dobrodusznego olbrzyma“. A więc po staremu tonie ojczyzna w ciemności, po staremu pieśń służy feudalnemu porządkowi i ćwiczy prostaczków w pokorze i rezygnacji z dóbr doczesnych. Następuje bunt poetę:

*) Cytaty w przekładzie E. Gołębiowskiego

Śmierć również zastała krytyka w momencie, gdy pracował, gdy przygotowywał się do nowej walki, tym razem przeciwko Stanisławowi Brzozowskiemu i jego „Legendzie Młodej Polski“. Znalaziono go na ulicy, w ciemnym wytartym palcie jesiennym, które pamiętało wiele zim, nawet w chwili śmierci nie chciał się widocznie rozstać z ziemią, którą jako geograf badał, a jako krytyk literacki kochał. Dopiero wtedy przypomniano sobie o nim i w uznaniu ogromnych zasług nazwano go „ojcem geografii polskiej“.

Dorobek Nałkowskiego, wyrażający się imponującą sumą 122 prac z geografii i ponad 50 artykułów i prac literackich i publicystycznych, winien być gwarancją jego sławy. A jednak... do dzisiaj jego działalność literacka jest prawie zapomniana. Co więcej, podczas gdy wśród bezludnych lodów Nowej Ziemi jedna z rzek nosi jego nazwisko, w Lublinie, Krakowie czy w Warszawie nie znalazłono nawet skromnej uliczki dla uczczenia człowieka, którego całe życie było jednym wielkim pasmem walk-o zwycięstwo tego, co NOWE.

Roman Rosiak

*Na ziemi pragniemy szczęśliwi być!
Cierpieć nie chcemy już więcej.
Niech nie pożera obcy brzuch
Tęgo, co skrzętne daty nam ręce.*

*Niechaj nam nowa zabrzmi pieśń
I flety niech grają najmiłsze —
A starej żałoby smutny dzwon
Dawno powinien już milczeć.*

Z kolei następuje niespodziana zmiana tematyki, przejście od pieśni pobożnej dziewicy do sceny z pruskimi celnikami. Rewolucyjnych broszur szukają celnicy w walizce poetę. Ale na próżno. Poeta przewozi kontrabandę polityczną w „głowie“:

*...Gniazdko całe ćwierka mi tam
Rewolucyjnych broszur...*

Kpi sobie poeta z celników, kpi na temat „zjednoczenia“ Niemiec przy pomocy pruskich barier celnych, kpi z pseudopatriotycznych wypowiedzi rodaków i rośnie w nim gorycz.

Refleksje na temat „pieśni cierpienia“ kojarzy poeta w rozdziale trzecim z ironicznym przypomnieniem Karola Wielkiego, spoczywającego w grobowcu w Aachen (Akwizgranie). Miasto czyni na poecie niemiłe wrażenie, razi go prusactwo, rażą żołnierze sztywni i zarozumiali, irytuje go „pikel-

hauba" (wynalazek królewski), mierzi atmosfera feudalnego Aachen i burzają wszyscy ci, którzy stworzyli całą tę feudalną mitologię starego miasta: Tieck, Fouque, Uhland i Joanna Moutfaucou. Widok orła czarnego na szyldzie pocztowym budzi w poecie gniew:

*Dostaniesz się kiedyś w ręce me
Straszydło drapieżne i szpetne,
Wtedy do goła oskubię cię z piór
I szpony ci wszystkie obetnę...*

*A potem w górze powieszę cię
Na jakimś jarmarcznym paliku
I będzie do ciebie wesoło szyć
Gromada nadreńskich łuczników.*

Ów atak poety na Aachen, siedzibę starej „świętej” wspaniałości cesarstwa, ma swoistą wymowę. Miejsce to czcili monarchiści niemieccy i liberałowie, burżuazja i junkrzy, miejsce to uświetnione było tradycją i poezją. Sam Schiller wspaniałym patosem uświetnia Aachen w Balladzie „Graf Habsburg”. Heine jednakże był wrogiem i monarchistów, i burżuazji, i liberałów, i junkrów.

Nową falę gniewu budzi w poecie klerykałna atmosfera Köln (Kolonii) i tu zaczyna się heinowski Faust:

*...gdy czasem w późną noc
Przy biurku siedzę i drzemię,
Czuję wyraźnie, że za mną tkwi
Jakiś ponury odmieniec.*

*Nachodzi mnie zwykle ów duch
W chwilach żałości i troski,
Czarny, żalobny okrywa go płaszcz
A w rękę ma topór katowski...*

Duch kroczy za poetą wśród nocnej Kolonii. Wreszcie poeta zatrzymuje się i mówi do niego:

*Niechże się wreszcie dowiem
Po co pan za mną łazi wciąż
Przez to kolońskie pustkowię?*

*Spode łba na mnie spoziera pan,
Trzymasz tam coś za pazuchą,
Powiedz do licha czego chcesz
Człowieku, panie czy duchu?*

„Realistyczny” duch odpowiada z flegmą:

*...Bardzo cię proszę, nie bawmy się
W egzorcyzmy i patos.*

*Obcy mi jest przeszłości duch,
Nie byłem nigdy upiorem,
Filozoficznych nie lubię spraw
I życie po prostu biore.*

„Duch” — niby nowoczesny Mefistofeles — oddaje się na usługi poety i ten korzysta z jego pomocy przy pierwszej sposobności. Następuje

starcie z kolońskimi Trzema Królami. „Szkielety przeszłości” usiłują bronić się, zasłaniają się swym majestatem, żądają czci należnej monarchom, ale poeta nie ma miłosierdzia dla „upiórów przeszłości”:

*...spojrzałem nagle w tył
I wtedy topór zabłysnął.
Mój niemy towarzysz zrozumiał rzecz
I poszedł za moją myślą...*

*U sklepień echa ozwał się głos,
Wrzeszczały truposze przegnite.
Z piersi bluznęła mi krew
I nagle się obudziłem.*

Inne cele przyświecały mieszczańskiemu Faustowi. Antyfaust heinowski ma oblicze rewolucjonisty. Na tle ówczesnej sytuacji politycznej postać taka ma wyraźny sens i uosabia protest przeciwko królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi IV i jego programowym manifestom na rzecz monarchii w stylu najbardziej średniowiecznym.

Natarcie poety na ideały feudalne przybiera na sile w rozdziałach XIV, XV, XVI i XVII. Głównym celem satyry staje się tu legendarny Barbarossa, symbol średniowiecznej potęgi cesarstwa niemieckiego. Poeta dostaje się w głąb gór Kyffhäuser, gdzie przebywa Barbarossa z całym swoim śpiącym rycerstwem i czeka na moment, w którym ma rozpocząć walkę o „wolność” Niemiec.

Staruszek oprowadza poetę po swojej zbrojowni, wreszcie:

*...proporzec odkurzył i rzekł:
Znak ten dodaje mi serca,
Mole jeszcze nie zjadły go
I robak nie stoczył drzewca.*

Barbarossa ma jeden tylko kłopot: na wielką wyprawę brak mu koni.

Poeta służy mu radą:

*Cesarzu, dobry mam sposób,
Jeśli ci koni bojowych brak,
Użyj miast koni osłów.*

Temat rozmowy zmienia się i nagle poeta zaczyna mówić o gilotynie. Barbaroszę ogarnia strach:

*...w tej chwili zmierzył mnie
Przeżażonymi oczyma.
Na Boga! prędko powiedz mi, waśc,
Co to jest gilotyna?*

Cesarz otrzymuje dokładną informację co do sposobu działania gilotyny, jej wyglądu, celowości, i w rezultacie zaczyna się interesować osobą informatora:

*A ty właściwie coś ty zac
Z tą śmiałą poufalszcą?
Uważaj, bratku, aby ci kto
Języczka ostrego nie podciął.*

Zalać człowieka może krew!
Tak to szanujesz Cesarza?
Pytam waszmości, dlaczego pan
Władcę swojego obraża?

Poeta nie daje się zastraszyć i śmiało rzuca Barbarossie obelgę:

*Twój sztandar już obrzydzili mi
Staroniemieccy wariaci
I dawnom dla junkrów i twoich barw
Cały szacunek utracił...*

W coraz to innej tonacji przewija się przez poemat strumień różnorodnych uczuć poety. Tęsknota za krajem kojarzy się z ironią na temat jego zacofania, gorycz spleta się z gniewem, miłość do ludu niemieckiego z nienawiścią do rodzimej reakcji, żalność z wybuchami satyrycznego śmiechu, ból serdeczny ze łzami, a ponad wszystkim gorące pragnienie rewolucyjnego czynu. Na tej bogatej i szczerej uczuciowości polega siła wyrazu satyrycznego „Niemiec”. Argumenty poematu stają się jednocześnie wybuchami uczucia, relacje — wizjami, rozumowanie — cierpieniem, wnioski — okrzykami, satyra — liryką.

Poemat poświęcony ludowi i jego sprawie z ludowości bierze swoją formę. Czterowierszowe, proste strofki, potoczne zwroty, obrazawnie i gminne skojarzenia tematyczne, humor i komizm ballady ludowej, symbolika baśni, lapidarność — wszystko to współbrzmi w poemacie z jego myślą przewodnią i jest żywym przykładem celowego i naturalnego czerpania wartości poetyckich z twórczości ludowej.

Po długiej podróży staje poeta wreszcie u celu, w Hamburgu — i tu w atmosferze zacofanego mieszczaństwa natrafia na nowe przejawy ciemnoty, bezradności, filisterstwa i zdrady na rzecz królewskiego absolutyzmu.

Hammonia, patronka miasta Hamburga, stara przyjaciółka poety, usiłuje przyswoić mu poglądy

polityczne i społeczne mieszczaństwa hamburskiego, pogodzić go z ziolkami i stworzyć mu jakiś modus vivendi:

*Czy jeszcze cię nie uzdrowił czas,
Ze szukasz wciąż nowych kłopotów?
Ze chcesz odmienić cały nasz świat
I zgładzić wszystkich idiotów?*

Próba solidarystycznego rozwiązania konfliktu poety z mieszczańską rzeczywistością nie udaje się. Sama Hammonia bowiem w naiwności swojej ukazuje mu pełną ohydy przyszłość Niemiec.

Poeta nie traci jednak nadziei. Liczy na młodzież:

*Młodzież swobodna rozkwita nam
Bez maski, bez szminki, bez grzechu
I jej to pragnę zaśpiewać hymn
O nowym, szczęśliwym człowieku.*

Walce o nowego człowieka patronować chce sam poeta, czuje ku temu powołanie i jest świadom swej siły — potężniejszej niż władza królewska:

*Poetów, Królu, nie radzę ci lżyć,
Bo zbrojni są w miecze i gromy
I są straszniejsi niż Jowisz sam,
Stwórca — przez nich stworzony.*

Próbowano kiedyś mówić o osamotnieniu Heinego. Inną mają wymowę współczesne pocie fakty: powstanie tkaczy śląskich, formowanie się pierwszych organizacji socjalistycznych, artykuły nawołujące do walki o prawdziwą demokrację w Gazecie Reńskiej, w „Vorwärts”, w „Niemieckiej Gazecie Brukselskiej”, działalność Związku Sprawiedliwych, wzrost świadomości społecznej wśród postępowej demokracji niemieckiej, strajki wśród robotników, Manifest Partii Komunistycznej oraz rewolucja 1848 i jej strzały do czarnych ptaków na szyldach pruskich urzędów.

Eugeniusz Gołębiowski

Heinrich Heine

NIEMCY

OPOWIEŚĆ ZIMOWA

(Fragmenty)

Przełożył EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI

I

Listopad właśnie ponury był.
Dni się snuły jak cienie
I wicher zrywał listowie z drzew,
A ja wędrowałem do Niemiec.

Gdym nad granicą ojczystą stał,
Żalność opadła mnie jakaś,
Serce zaczęło się we mnie tłuc
I nagle... musiałem zapłakać.

Mowy ojczystej pierwszy dźwięk
Witałem rzewnymi łzami,
Z rozkoszą myśląc, że wszystką krew
Serce moje wykrwawi.

Ozwala się wtedy harfiarki pieśń.
Ton jej był nieco fałszywy,
Lecz strofki smutne i pełne łez
Do głębi mnie poruszyły.

Dziewica śpiewała żalną pieśń
O nieszczęśliwej miłości,
O żalach i bólach, co mają kres
Po tamtej stronie wieczności.

Śpiewała o tym, że ziemski los
Kończy się zawsze smutno
I że po śmierci dopiero człek
Ujrzy szczęśliwe jutro.

Ascetyczna była to pieśń
O prostych i gminnych rymach.
Taką poezją tumani się lud,
Dobrodusznego olbrzyma.

Znam owe rymy i znam ten tekst,
Znam tę podstępą robotę
I tych, co szampany lubią pić,
Dla innych zaś mają wodę.

Chcę wam zaśpiewać inną pieśń,
By życie nasze odmienić.
Druhowie moi! przecie już czas
Niebo zbudować na ziemi.

Na ziemi pragniemy szczęśliwi być,
Nie chcemy już cierpieć więcej
I niech nie pożera obcy brzuch,
Tego, co nasze dały nam ręce.

Chleba rośnie na ziemi dość
Dla wszystkich naszych dzieci.
Nie brak powietrza, mirtów ni róż
I słońce jednaką nam świeci.

Ziemski cukrowy groch
Każdy z nas przecie lubi.
Nieba zaś chętnie zrzekniemy się
Na rzecz aniołów i wróbi.

A jeśli skrzydełka wyrosną nam,
Chętnie niebo zwiedzimy
I wraz z aniołkami będziemy jeść
Placki niebiańskie i bliny.

Niechaj nam nowa zadzwoni pieśń
I flety niech grają najmiłsze.
Starej żaloby smutny dzwon
Dawno powinien już milczeć.

Dziewica Europa bierze ślub
Z dorodnym Geniuszem Wolności.
Już się objęli i łączy ich
Ogień pierwszej miłości.

I choćby kadzideł zabrakło im,
Stadło na pewno się skleci.
Młoda para niech żyje nam!
Niech żyją przyszłe jej dzieci!

Śpiewam oto weselną pieśń,
By uczcić nowe małżeństwo.
W duszy mej wschodzi tysiącem gwiazd
Najwyższe błogosławieństwo.

Płonie najczystsze światło mych gwiazd
Strumieniem ognia i ziota.
I taką w sobie czuję dziś moc,
Ze dęby mogą gruchotać.

Czuję w sobie tę dziwną moc,
Odkąd na ziemię moją przybyłem.
To olbrzym dotknąwszy matki swej
Rośnie w legendę i siłę.

II

Kiedym się jeszcze wsłuchiwał w pieśń
Owej pobożnej dziewicy,
Nagle... do kufrów i waliz mych
Dobrali się pruscy celnicy.

Grzebać i węszyć zaczęli mi
Pośród skarpetek i koszul.
Szukać koronek, preciozów, ksiąg
I rewolucyjnych broszur.

Na próżno zeru szukacie tam,
Nic nie znajdziecie, panowie.
Kontrabandę od dawnam zwykli
Wozić po świecie w głowie.

A te koronki, co w głowie mam,
Przyćmią nawet Brukselę.
Wkrótce przyniosę je wszystkie na targ.
Dopiero żółć was zaleje.

W głowie przewożę cały mój skarb,
Lepszej przyszłości diamenty.
Kiedys je będzie w koronie swej miał
Nowy, nieznanym wam Święty.

Rewolucyjne książki zaś
W głowie tajemnie przewożę,
Gniazdko całe ćwierka mi tam
Niecenzuralnych książek.

Szatan sam nie wymyśliłby
Większych niegodziwości.
Są one bardziej zdrożne niż te,
Co Fallersleben ogłosił.

Pasażer pewien; co obok stał,
Tłumaczyć mi zaczął, że teraz,
Teraz dopiero niemiecki sens
Celna ma nasza bariera.

Oraz, że całe to pruskie cło
Wzmocni nam nacjonalizm,
Że nam ojczyznę podciągnie wzwyż
I wszystkie części jej scali.

W kształt materialny ujmie nas cło
I całość państwową stworzy,
A o tym, by jeden złączył nas duch,
Pomyślą już nasi cenzorzy.

Oni przetopią nas w jedną treść
I wspólnym określą znakiem,
Bo w końcu Niemcy muszą się stać
Wewnątrz i zewnątrz jednakiem.

Karolus Magnus w Aachen ma grób,
W starej czcigodnej katedrze.
Z Karolem Mayerem nie mieszać go.
Ten w Szwabii żyje nam jeszcze.

Nigdy nie chciałem cesarzem być
I leżeć w Aachen starym.
Jak skromny poeta umrzeć chcę
I w Stukkert mieć grób, nad Neckarem.

W Aachen nudzą się wszystkie psy
I zdają się prosić rodaka:
Gościu nasz miły, prosimy cię,
Daj dla rozrywki kopniaka.

Całą godzinę płątałem się
Po owej nudnej mieścinie.
Pruski tam jeszcze panuje dryl
W mundurze i dyscyplinie.

Na płaszczach szarych oglądasz tam
Same czerwone kołnierze.
„Ta czerwień oznacza francuską krew”,
Pamiętam twe słowa, Körnerze.

Wojsko jak z drewna szytywne jest
I w kątach lubuje się prostych.
W każdym odruchu te same wciąż:
Zarozumiałe osły.

Noszą się sztywno i mają dryl
W kroku i na obliczu,
Jakby polknęli ów pruski kij,
Co kiedyś w młodości ich ćwiczył.

Rapier zewnętrznie tylko znikli.
Wewnątrz pilnie go strzegą
I każde braterskie „Ty”,
Oznacza feudalne: „Niech on”.

Stary warkoczek przeżył się już
I zastąpiono go wąsem.
Warkocz, co kiedyś z tyłu był,
Dzisiaj wisi pod nosem.

W piękne mundury ubrano nam
Naszą dzielną konnicę.
Szczególnie piękny jest nowy hełm:
Pikelhauba ze szpicem.

Dawna rycerskość bije zeń
I nasz rodzimy romantyzm.
Pamiętasz Joannę Montfaucon?
Tiecki, Fouquety, Uhlandy?

Rycerski i huczny wtedy był świat:
Średniowiecze u schyłku.
Na sercu kornie złożona dłoń
I herb rycerski na tyłku.

Wypraw krzyżowych, turniejów czas,
Służba u pięknej kobiety.
Na słowo wtedy wierzono ci
I nawet nie było gazety.

Lubię patrzeć na nowy ów hełm.
Inteligencję można w nim wyczuć.
Pono wymyślił go pruski król
I pointę umieścił na szpicu.

Po prawdzie to jednak lękam się,
Bo co się stanie z tym szpicem,
Gdy burza runie na piękny hełm
I trzaska weń błyskawice?

Na wojnie jednak bohater nasz
Inną czapeczkę dostanie,
Bo przecie ów średniowieczny hełm
Utrudni mu w końcu bieganie.

W Aachen na poczcie ujrzałem znów
Ptaka, którego nie kocham.
Z oczu mu biły wściekłość i jad,
Kiedy mnie ujrzał z wysoka.

Dostaniesz się kiedyś w ręce me.
Straszdyło drapieżne i szpetne.
Wtedy do goła oskubię cię z piór
I szpony ci wszystkie obetnę.

A potem w górze zawieszę cię
Na jakimś jarmarczonym paliku
I bądźcie do ciebie wesoło szyc
Gromada nadreńskich łuczników.

Kto w tym strzelaniu wyróżni się
I płaka czarnego ubije,
Tego nagrodzę i niechaj nam
Pruski monarcha żyje!

V

Potem poszedłem na reński most,
Tam gdzie jest stara strażnica,
Aby zobaczyć, jak ojciec Ren
Płynie w promieniach księżycy.

Witaj, staruszkę, rzekłem doń,
Jak ci się wiedzie mój Renie?
Wyznam, że często wspominał cię
Z tęsknotą i rozrzewnieniem.

Kiedy to rzekłem, z głębi wód
Smutne zabrzmiały bulgoty —
W końcu się ozwał staruszek Ren
Głosem pełnym zgryzoły.

„Witam cię, witam i jestem rad,
Że o mnie pamiętasz, mój chłopcze,
Trzyznaście już nie widziałem cię lat —
A mnie się wiodło niedobrze.

Kamienie łykałem pod Biberich
I czuję je w brzuchu jeszcze —
Lecz wyznam, że bardziej gnębią mnie
Pana Beckera wiersze.

Poświęcił mi drań swoją bzdurną pieśń
I czuję się niby dziewczuszka,
Co w nocie wiecznej chciałaby żyć
I za nic nie odda wianuszka.

Niekróć słyszę tę głupią pieśń,
Włosy wrywam z brody
I radbym wreszcie utopił się
W głębi swej własnej wody.

Zem nie jest dziewica, znana to rzecz.
Francuzi potwierdzą to sami,
Ci, co już nieraz zwyciężski miecz
Płukali nad mymi wodami.

Cóż to za cymbał! Cóż to za kiep!
Ileż to bredni on nałgał.
Znieważył, ośmieszył, zelżył mnie
I skompromitował mnie gałgan!

Kiedy Francuzi powrócą znów,
Ze wstydu się będę czerwienił,
Mimo, że z dawna pragnąłem ich
Widzieć na naszej ziemi.

Zawszem dla nich sentyment miał,
Dla owych chłopaczków maleńkich.
Czy skaczą jak dawniej? Bawią się?
Czy noszą białe spodeńki?

Chętnie bym ujrzał ich znów
I witał serdecznie jak braci —
Ale przez tamtą bzdurną pieśń
Boję się kompromitacji.

Ten łobuz Fredzio Musset
Na pewno przybiegnie pierwszy
I zaraz rozbębni na cały świat
Haniebny sens owych wierszy.

Tak to narzekał staruszek Ren
W cichym żalonym pomruku.
Sercem więc przemówiłem doń,
Chcąc go pokrzepić na duchu:

Na próżno, staruszkule, obawiasz się
Francuskiej szyderczej piosenki —
Dzisiaj Francuzi inni są
I inne noszą spodeńki.

Spodnie czerwone noszą dziś,
Guziki mają też nowe —
Lecz ten, co wczoraj puszczał się w tan,
Dzisiaj zwiesił już głowę.

Filozoficzną bawią się grą,
Kantem, Fichtem i Heglem,
Fajczą i lubią piwo pić —
Najchętniej zaś grają w kręgle.

Filistrów tam pełno, tak jak i tu,
I już zapomnieli Woltera,
Hengstenberger nudny i mdły
Do reszty im humor odbiera.

Figle płata Fredzio Musset,
Jak zwykle trochę chłopięcy.
Na to jednakże sposób jest:
Po prostu: utniemy mu język.

A jeśli łobuz wymknie się nam
I słowo na ciebie piśnie,
Przygodę Fredzia u pewnej madame
Roztrąbimy publicznie.

Niechaj, ojczulku, nie dręczą cię
Kiepskie i głupie rymy.
Wkrótce usłyszysz inną pieśń
I znów się tu zobaczymy.

XII

Tłucze się wózek przez nocny las
Aż nagle — trzeszczy coś w osi,
Pęka nam koło, przystaje wóz
I nie ma czego zazdrościć.

Woznica musi do wioski biec,
Więc sam przy wozie zostaje.
Groźny jest zawsze nocny las
I wyją drapieźców zgraje.

To wilcy tak nawołują się.
Wyraźnie słyszę ich głosy
I widzę, jak ślepia ich dziko lśnią
Wśród groźnej i ciemnej nocy.

Osobę mą pewno powitać chcą,
Honory mi więc okazują.
Przysłali ogromny wilczy chór
I krzaki iluminują.

Pojąłem od razu intencje ich,
Że dla mnie owacje są owe.
Mówcy postawę przyjąłem więc
I taką palsałem mowę:

Współwilcy! Jakżem szczęśliwy dziś,
Że mogę znów pośród was gościć,
Gdzie tyle szlachetnych i wzniosłych dusz
Wita mnie wyciem miłości.

To, co przeżywam, wierzcie mi,
To chyba jest bez precedensu!
Spośród wszystkich mych pięknych chwil
Obecna najwięcej ma sensu.

Za zaufanie dziękuję wam
I za to, żeście w tej chwili,
W czasie najcięższej z wszystkich prób
Dowód wierności złożyli.

Współwilcy! Dobrze wiadomo mi,
Że szelma niejeden was mam,
Głosząc publicznie wierutną leż,
Jakobym pobratał się z psami.

Że jestem sprzedawczyk i że mnie psi
Pragną radcostwem obdarzyć:
Poniżej godności mej byłoby
Przeciwic się takiej potwarzy.

Jeśli się odział w baranią sierść,
To po to, proszę ja panów,
By ogrzać nieco wychudły grzbiet,
Lecz nigdy nie kochał baranów.

Nie jestem baran, nie jestem pies,
W kożuchu baraninm się duszę.
Wilkiem jestem, wilkiem na wskroś,
Wilcze mam zęby, serce i duszę.

Powtarzam, że jestem prawdziwy wilk
I pragnę żyć w zgodzie z wilkami.
Liczcie więc na mnie a wesprze was Bóg,
O resztę starajcie się sami.

Taki to tenor mowy mej był.
Pełen natchnienia i treści.
Zniekształcił ją nieco redaktor Kalb
I w swojej gazecie umieścił.

XIII

Słońce wschodziło pod Paderborn
Zezując na świat nieprzyjemnie.
Już mu tam pewno sprzykrzyło się
Oświetlać głupawą ziemią.

Słońce zazwyczaj oświetla nam
Jedną połowę ziemi
I ledwo ku drugiej obróci swój blask,
Tamtą już tonie wśród cieni.

Szyf bez celu toczy swój gład,
Danajdy się trują bez końca,
Na próżno oświetlać chcą cały glob
Złote promienie słońca.

Kiedy znikają już nocne mgły
I ranek różowy się zbliża,
Ujrzałem człowieka, co w górze tkwił
Przybity gwoździami do krzyża.

Boję się zawsze, kuzynie mój,
Gdy widzę postać twą zacną,
I pocóżes chciał uzdrowić świat,
Szalony ludzkości wybawco?

Wiedzieli dobrze, jak zażyć cię
Szlachetni panowie rada.
Lecz pocóżes tyle o ojcu swym
I o reformach gadał?

Całe — niestety — w tym mieści się zio,
Ze wtenczas nie znano druku.
Byłbyś napisał kilkoro ksiąg
Na temat niebieskich statutów,

Cenzor by zbadał całą rzecz
I skreślił, co panom ubliża.
Dzięki niemu na pewno byś mógł
Uniknąć swojego krzyża.

O! gdybyś był wybrał inny tekst,
Kiedyś z pospółstwem gawędził!
Talentu chyba starczyło ci —
Załości byś ludziom oszczędził.

Z świątyni chciałeś wypędzić precz
Maklerów, handlarzy, bogaczy.
Nieszczęsny! Wzniesiono ci krzyż
I wisisz jak znak ostrzegawczy.

Co jeszcze się wydarzyło tam,
Com przeżył oraz co czułem
Kiedyś obszerniej opowiem wam
Najchętniej aż w kanikule.

Prastary i niecny pochlebców ród
Odchodzi już, chwala Bogu,
I zżarty jadami własnych kłamstw
Sam się już chyli do grobu.

Młodzież swobodna rozkwita nam
Bez maski, bez szminki, bez grzechu
I jej to pragnę zaśpiewać hymn
O przyszłym szczęśliwym człowieku.

Ta nowa młodzież dzisiaj już wie,
Jak cenić słowo pieśniarza
I serca poety płomienny blask
Najczystszy w niej ogień rozżarza.

Gracje szlachetne stroją mi już
Lutni struny dźwięczące
I każda moja serdeczna myśl
Gorzeć zaczyna jak słońce.

Wierzcie mi, drodzy, że z moich strun
Melodia płynie ta sama,
Co kiedyś przed laty dźwięczała już
Na strunach Arystofana.

Na lutni swojej klasyczny mistrz
Opiewał Paistetorosa,
Co z Bazyleą w górę się wzniosł
I zniknął kiedyś w niebiosach.

Ostatni rozdział zakończyć chce
Arystofanem z „Ptaków”.
Wiadomo, że „Ptaki” najlepsze są
Z wszystkich jego dramatów.

„Zabami” także zachwycam się
I dodać tu muszę jeszcze,
Iż „Zaby” obecnie w Berlinie się gra
Ku Jego Królewskiej ucieście.

Kocha się w sztuce tej pruski król,
Bo ceni antyczną robotę.
Lecz Grecy woleli bawić się
Sobie współczesnym rechotem.

„Zaby” uznaje jegomość król,
Lecz gdyby żył autor dramy,
Doprawdy: nigdy nie radziłbym mu
Przekraczać królewskie szlabany.

Zacny staruszek miałby tu
Bardzo niemiłe przeżycia.
Wnet by biegła za nim krok w krok
Cała królewska policja.

Plebs by musiał zlorzeczyć mu
Na pańskie specjalne zlecenie
I sąd na mocy królewskich praw
Pod sekwestr wzięby mu mienie.

Królu! w najlepszej intencji chcę
Radę dać pewną panu:
Zmarłym poetom oddawaj cześć,
Ale i żywych szanuj.

Poetów, królu nie radzę ci lżyć,
Bo zbrojni są w miecze i gromy
I są straszniejsi niż Jowisz sam,
Stwórca przez nich stworzony.

Olimp wyśmiewaj ilekroć chcesz
I wszystkie bóstwa na świecie,
Stare i nowe, Jehowę też —
Lecz nie ubliżaj poecie.

Wiadomo: bogowie zawsze się mszczą
Za wszystkie niecnoty człowiecze
I w ogniu piekielnym niemilo nam
Prażyć się, smażyć i skwierczeć.

Ale datkami na kościół i mszą
Można wybawić się z ogni —
I święci pańscy od tego są,
By ludzi z czyścica wymodlić. —

Kiedy nadejdzie ostatni dzień
I dusze powstaną z grobu,
To chociaż surowy odbędzie się sąd,
Niejeden wykreści się łobuz.

Lecz są takie piekła, gdzie nie ma bóstw
I męki nie mają kresu,
Skąd nie wybawią modły ni grosz —
Choćby przebaczył Pan Jezus.

Dantego piekło czy znasz?
Strasziwe tercyny w otchłani
O! kogo poeta umieścił tam,
Tego już Bóg nie wybawi!

Do tego piekła nie sięgnie już
Chrystusa dłoń miłosierna.
Pamiętaj więc, królu, abyś i ty
Nie poszedł do tego inferna.

Przełożył Eugeniusz Gołębiowski

Henryk Gawarecki

ZAMEK LUBELSKI

Naturalne warunki obronne, w jakich znajdowała się lessowa wyspa, otoczona dookoła zabagnionymi dolinami rzek Bystrzycy i Czechówki, zdecydowały o wyborze miejsca, na którym usadowił się gród lubelski. Strome, poprzecinane urodzajnymi zagłębieniami zbocza wzgórza zamkowego i gruba warstwa torfu zalegająca dno doliny podnosiły znacznie tę obronność. Można ją było zresztą zwiększyć niewielkim wysiłkiem, gdyż lessowo-piaszczysty materiał wzgórza nie przedstawiał trudności przy robotach ziemnych. I dlatego pierwotna jego konfiguracja uległa stosunkowo wczesnie zmianie, gdyż, jak to wykazały obserwacje poczynione w 1954 r., już na pewno przed poł. XIV w. wzgórze to zostało obniżone i rozszerzone przez ścięcie jego wierzchołka i rozplantowanie ziemi dookoła. Wiązało się to oczywiście z rozbudową skromnej drewnianej strażnicy na obszernej murewnej gród.

Niewiele dziś możemy powiedzieć o pierwotnym drewnianym grodzie lubelskim. Zajmował on zapewne sam wierzchołek wzgórza, powierzchnia jego była znaczna, jednak był on silnie ufortyfikowany. Wskazuje na to gruba warstwa spalonej konstrukcji drewnianej, na którą natrafiono w 1954 r. podczas robót ziemnych prowadzonych na północnym stoku wzgórza¹⁾.

Nie wszyscy patrząc na sylwetkę zabudowań zamkowych zdają sobie sprawę z tego, że stanowią one dzisiaj bardzo zróżnicowany pod wzglę-

dem czasu powstania, stylu i przeznaczenia — zespół.

Najstarszą częścią zamku jest dziś okrągła wieża — zwana donżonem — niegdyś wolno stojąca obecnie zaś wtopiona w południowe skrzydło zamku. Zbudowana częściowo z kamienia, a częściowo z grubej gotyckiej cegły, posiada mury dochodzące do 4 metrów grubości. Według Długosza miał ją znieść Daniel Halicki²⁾, zatem należałoby datować jej powstanie na połowę XIII w. Wydaje się jednak słuszniejsze uważać ją za wystawioną wraz z całym zespołem zabudowań murewanych przez Kazimierza Wielkiego. Dziś zmieniła swój pierwotny wygląd, gdyż otynkowana nie lśni już z daleka czerwienią swych gotyckich murów i nie wieńczy jej grzebień renesansowej attyki widoczny na obrazie „Pożar Lublina w 1719 roku“ (patrz fot. 2).

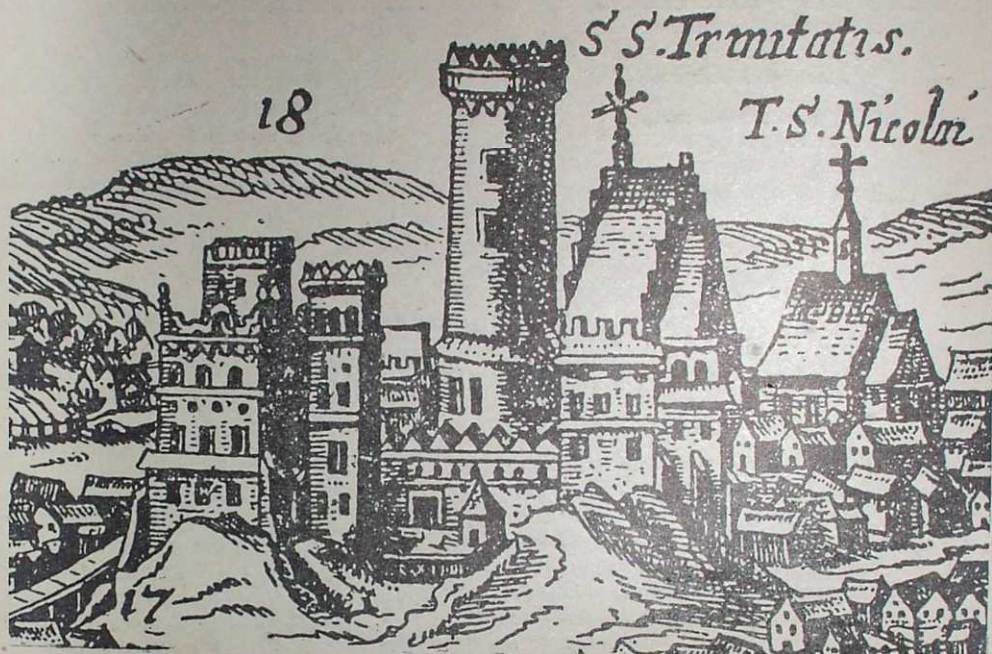
Drugą cenną pozostałością z kazimierzowskiego zamku gotyckiego są odsłonięte ostatnio fundamenty wieży obronnej, która niegdyś leżała w obrębie murów obwodowych otaczających wzgórze zamkowe, a dziś znalazła się na północnym jego stoku, u podnóża drogi zjazdowej³⁾. Prostokątna w rzucie, podparta trzema potężnymi skarpami od zewnątrz, strzegła zabudowań zamkowych od strony północnej. Była zapewne niegdyś zwieńczona obronnym krenelażem i stanowiła urozmaicenie sylwetki zamku od strony przedmieścia Kalinowszczyzny. Dziś, po przeprowadzonych robotach konserwatorskich, odkryte fundamenty są

jeszcze jednym wartościowym reliktem z epoki gotyckiej zamku (patrz fot. 5).

Najciekawszą wreszcie częścią dawnych kazimierzowskich zabudowań zamkowych jest kaplica zamkowa pod wezwaniem Św. Trójcy. Wystawiona w drugiej połowie XIV w., przedstawia sobą typ budowli rozpowszechnionej w okresie panowania Kazimierza Wielkiego. Szczególnie charakterystyczne jest jej wnętrze. Kwadratowa w rzucie nawa posiada sklepienie wsparte na stojącym na środku filarze, ku któremu spływają żebra nakrycia. Kaplica budowana z cegły pierwotnie nie była tynkowana i czerwienią swych ścian wyróż-

niała się zewnętrznymi prezbiterium obito tynki, spod których ukazało się zupełnie dobrze zachowane gotyckie lico murów. Dalsze prace będą miały na celu plastyczne wyodrębnienie kaplicy z zespołu XIX-wiecznych dawnych zabudowań więziennych, tak od strony podwórza, jak i od zewnątrz.

Wnętrze kaplicy pokrywają malowidła, które powstały w drugim dziesięcioleciu XV w. i reprezentują niezwykle ciekawy i ważny późnośredniowieczny zespół w dziejach sztuki polskiej. Wykonali je malarze ruscy śprowadzeni do Polski przez Władysława Jagiełłę z obszarów Księstwa



Widok Zamku Lubelskiego w pocz. XVII w. Fragment miedziorytu A. Hogenberga z 1617 r.

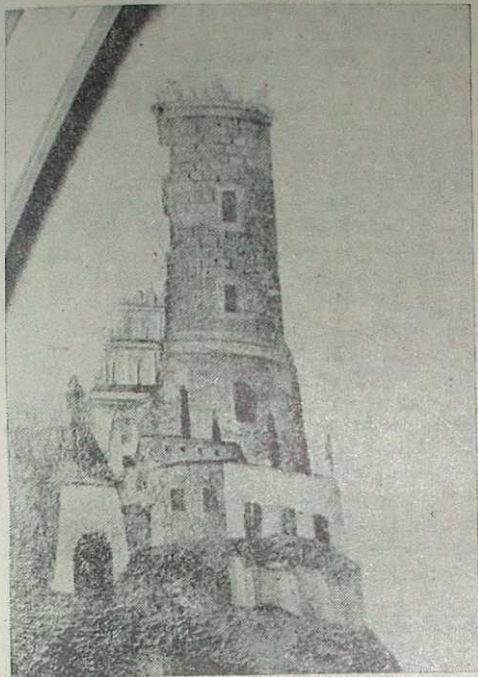
niała się z daleka z otaczających ją późniejszych zabudowań. Dwa gotyckie szczyty ze sterczynami — widoczne jeszcze na sztychu A. Hogenberga — oraz niższy od dzisiejszego poziom wzgórza zamkowego od strony prezbiterium nadawały budowli stylowej gotyckiej wysmukłości. Kaplica ma wewnątrz dwukondygnacyjne, dolna kondygnacja stanowiła niegdyś kryptę, w której składano ciała księży obsługujących kaplicę i urzędników zamkowych. Część ta ma ten sam kształt rzutu co i część wyższa, nakrywa ją jednak sklepienie krzyżowe wsparte na przysadzistym krótkim filarze. Z części dolnej w grubości murów północnej ściany nawy wiodło wejście na poziom wyższy, do właściwej kaplicy.

Obecnie prowadzone są już roboty mające na celu przywrócenie kaplicy jej pierwotnego wyglądu. Dach prezbiterium został podwyższony, a całość pokryta dachówką holenderską. Z górnej części

halicko-wołyńskiego. Było ich kilku, a pracowali pod kierunkiem bliżej nieznanego malarza Andrzeja, który swoje imię zostawił na tablicy fundacyjnej pod łukiem tęczowym. Czytamy w niej, że dekoracja kościoła zakończona została w dzień św. Wawrzyńca (10 sierpnia) 1418 r. Polichromia pokrywająca ściany i sklepienie, obok przedstawień treści religijnej, zawiera również dwa współczesne wizerunki króla: jeden reprezentacyjny portret na koniu, drugi na malowidle fundacyjnym w postaci klęczącej obok Madonny.

Ciekawa jest historia polichromii kaplicy. Malowidła w stanie, jak się zdaje nieznacznie zmienionym dotarły do początku XIX wieku, kiedy to jako rażące współczesny smak zostały pokryte grubą warstwą białych w prezbiterium, a otynkowane w nawie. Przed otynkowaniem powierzchnię ścian gęsto posiekano dla lepszej przyczepności nakładanych tynków.

Niewielkie partie malowideł wyglądające spod pobiły dostrzegł już w połowie XIX w. zasłużony inwentaryzator zabytków Królestwa Polskiego — Kazimierz Stronczyński. Ale zainteresowano się nimi dopiero w 1897r., kiedy to malarz Józef Smoliński odbił tynki z bębna schodów i odsłonił ma-



Wzgórze zamkowe

Fragment obrazu „Pożar miasta Lublina w 1719 r.“

lowidła fundacyjne. Komunikat o odkryciu przesłany do Akademii Umiejętności w Krakowie wzbudził duże zainteresowanie carskiej Komisji Archeologicznej, która w r. 1903 delegowała swoich członków dla przeprowadzenia dalszych badań. W rezultacie tych prac stwierdzone zostało, że malowidła w nawie wykonane były na mokrym tynku, w prezbiterium zaś na suchym.

Systematyczne prace przy odkrywaniu i zabezpieczaniu polichromii rozpoczęto za okupacji austriackiej Lublina w latach 1917—18. Odczyszczano wówczas pod kierunkiem J. Makarewicza prezbiterium, przy czym pozwolono sobie na dość swobodne uzupełnienia i retusze, które zniekształciły obiektywną wartość malowideł. W 1921 r. ówczesne Ministerstwo Sztuki i Kultury zleciło dalszy ciąg prac E. Trojanowskiemu, który prowadził je w nawie. Ale i te roboty nie były prowadzone zadowalająco, gdyż liczne ubytki malowidła zostały niewłaściwie uzupełnione, a polichromia zatraciła swój charakter.

W tym stanie malowidła dotrwały do czasów okupacji hitlerowskiej. Niemcy urządzili w kaplicy skład węgla i kartofli oraz salę rozpraw sądo-

wych. Wpłynęło to oczywiście niekorzystnie na stan zachowania polichromii, nadto nieszczelność dachu i brak oszkleńcia spowodowały zawilgocenie ścian i sklepienia.

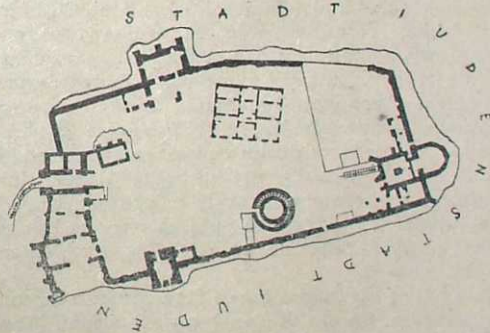
Ostatnio prowadzone badania i prace konserwatorskie mają za zadanie dokładne rozpoznanie stanu zachowania i stopnia przemalowania oraz zmian dokonanych w czasie odkrywania malowideł.

Do ozdobienia kaplicy zamkowej przyczynił się Władysław Jagiełło, który często przemieszczał na zamku w Lublinie. Freski w kaplicy są ciekawym przykładem filoruskich zamiłowań króla oraz naszych kontaktów artystycznych z bałkańsko-ruską szkołą malarską.

Również Kazimierz Jagiellończyk przebywał na zamku wraz z całą rodziną. Jan Długosz, jako wychowawca synów królewskich, mieszkał na zamku w latach 1473-76. Zamek był już zapewne wtedy przystosowany rozmiarami do goszczenia rodziny królewskiej i jej służby.

Dokładniejsze wiadomości dotyczące wyglądu i rozmiarów zabudowań zamkowych pochodzą dopiero z drugiej połowy wieku XVI. Z czasem staje się on coraz okazalszy. Wiemy, że na zamku lubelskim przebywał w 1530 r. dla zbadania jego stanu architekt królewski Bartolomeo Berecci, twórca kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Jakieś prace prowadzone są również za czasów Zygmunta Augusta. Niewątpliwie zamek otrzymuje wówczas charakter renesansowej budowli.

Wiadomości o zamku czerpiemy z kilku lustracji województwa lubelskiego, z których jedna z 1570 r. tak opisuje stan samych zabudowań: „...budowanie zamku zwłaszcza pałaców dobre jest, jeno mur od żydów wali się, trzeba by go znowu wymurować i blanki naprawić...“⁴⁾

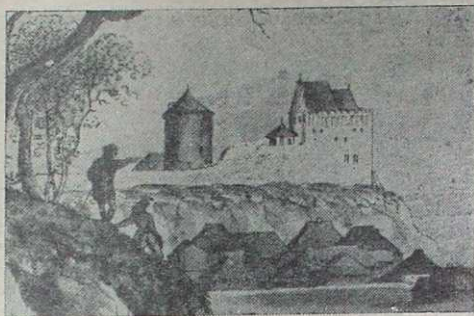


Plan zabudowań zamkowych z ok. 1807 r. (dawniej A. G. A. D. w Warszawie)

Pierwszym widokiem budowli zamkowych, który daje nam pojęcie o ich rozmiarach i wyglądzie, jest sztych A. Hogenberga z 1617 roku, zaopatrzonej we współczesny opis. W legendzie dołączonej do tego widoku przy zamku czytamy następujące objaśnienie: „zamek odznaczający się wspaniałym i prawdziwie królewskim urządzeniem“. Dalej zaś przy opisie całego miasta tak czytamy: „Przed wszystkim

kim zaś nadzwyczajną ozdobę tak miasta, jak i całej okolicznej krainy, jest zamek bardzo warowny skutkiem położenia swego i fortyfikacji, zbudowany na dość wyniosłym wzgórzu nad stawem i łączący się z miastem za pomocą mostu. Okazały jest i nader wysokimi basztami i wspianiami budowlami, stanowiącemi bardzo wygodne pałace i komnaty do zamieszkania przez królów i bardzo silną twierdzę dla odparcia jakiegokolwiek liczby nieprzyjaciół⁵⁾.

Jeśli spojrzymy na omawianą rycinę (patrz fot. 1), to bez trudu rozpoznamy na niej opisane części zamku. W lewym dolnym rogu — wśród za-



Zamek

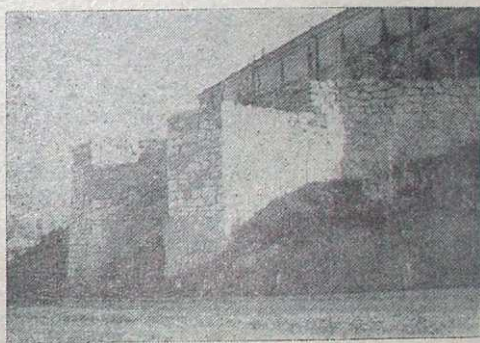
Fragment ryciny L. S. Urmowskiego z 1814 r.

budowań podzamcza — wąski pasek mostu, dalej nad niewidocznym wejściem kwadratowa wieża, przed nią zaś część mieszcząca komnaty. Budynek ten tworzący regularną bryłę zwieńczony jest bogatą renesansową attyką. Obok w kierunku na wschód sylwetka graniastosłupa baszty górującej wysokością nad budynkami mieszkalnymi. Od baszty tej biegnie wzdłuż wzgórza zamkowego mur obwodowy obronny ku zabudowaniom mansjonarskim i kaplicy. Budynek mansjonarski zwieńczony są jeszcze obronnymi blankami. Szczyt frontowy kaplicy o formie schodkowej jest jeszcze gotycki, przebudowa jego w duchu renesansowym na taki, jakim go dziś widzimy, nie nastąpiła jeszcze. Najsilniejszym akcentem w bryle całego zamku jest znajdująca się w środku potężna okrągła baszta, której mury zakończone są od góry grzebieniem attyki.

Ale już w niedługim czasie stan zamku znacznie się pogarsza. Bo oto w Konstytucjach Sejmu Warszawskiego w 1631 roku, tak czytamy: „...za wątpliwością fundamentami structura Zamku Lubelskiego vetustate consumpta, po niemalej części już upaść musiała i dalej jeszcze wszystkich budynek ruinam minantur...“⁶⁾ Wyznaczeni zostają przeto specjaliści rewizorowie dla zbadania jego stanu. O sprawozdaniu lustratorów dowiadujemy się z Konstytucji Sejmu za Władysława IV w 1635 r. „Donieśli nam pewni Rewizorowie Nasi z przeszłego Seymu do rewidowania ruiny Zamku Lubelskiego naznaczeni, że tamten Zamek, dla zły materyi y gruntów miało zasadzonych, trudno na byżd restaurowany:

a nawet y w ostatku też Zamkowe mury in dies większą ruinam minantur, y poprawione we wszystkich częściach bydż nie mogą. Przeto zlecaamy to Wielmożnemu Mikołajowi Firlejowi na Dąbrowicy, Wojewodzie Sandomirskiemu, Staroście Naszemu Lubelskiemu, aby on, lubo Następca jego, według dymensyi Inżyniera Naszego, ten Zamek suis sumptibus, budował, a gdzie poprawiony bydż może restaurował...“⁷⁾.

Nie doszło jednak do wypełnienia zaleceń sejmowych i nie wiemy, jak wyglądały plany odbudowy sporządzone przez królewskiego inżyniera. Dalsza znaczna ruina następuje podczas wojen kozackich i najazdu szwedzkiego w latach 1648—1657. Zamek ulega wówczas spłądowaniu i spaleni, a smutny stan zabudowań zamkowych opisuje lustracja z 1660 roku. „Ten [zamek] wszystek cale zrujnowany, Summy znaczny na Restauracyą potrzebuie, Kancellaryi niema: w Xiężej Habitacyi acta asservantur cum summo ignis periculo. Wieża y ta poprawy i kosztu potrzebuie. Ten zamek przez Nieprzyjaciela spalony, — ostatek się zawałiło, per varias caeli Injurias et tempestates...“⁸⁾. W tejże lustracji Starosta złożył zażalenie na mieszkańców dzielnicy żydowskiej Podzamcza, że oni... „nie mało są Zamkowej ruinie przyczyną, ponieważ Lochy, sklepy, y piwnice, aż pod sam Zamek wykopywając prowadzą, y lubo to nieprzyjacieli spalił, y in parte ruinował, jednak kiedyby miał swoje fundamenta doskonale mógłby się być nieobalić ani tak zruinować jako ad presens jest...“⁹⁾



Zamek

Nowoodsonięte fundamenty gotyckiej baszty na północnym stoku wzgórza zamkowego.

Z opisanego upadku nie miał się już zamek dzwignąć. Widok pożaru miasta Lublina w roku 1719 pokazuje nam na wzgórzu zamkowym jedynie wyniosłą bryłę okrągłej baszty, bramę wjazdową i resztki dawnych zabudowań mieszkalnych.

Niektórzy ze starostów próbują jeszcze podtrzymać upadające mury. I tak Jan Jakub Zamojski około 1743 roku „kancelarię porządną i archiwum wymurował, mury około zamku utrzymał...“¹⁰⁾.

Obydwa te budynki Zamojski starał się odpowiednio udekorować. I tak nad kancelarią wznosiła się „...Facyata w Dachu murowana kształtnie wyro-

biona, przy której po bokach Smoki z blachy białej zrobione...". Archiwum przy bramie wejściowej wystawione również miało dwa szczyty „...mistrzynie wyrobione z gipsu, w jednej z Dziedzińca Herb Domu Zamoyskich Ordynatów oznacza...”¹¹⁾ Nie omieszkał Pan Starosta ślad swoich rządów na zamku zostawić. Ale nie znajdując już możliwości zamieszkania w pozostałych murach wystawił rezydencję starościńską na Tatarach. Starosta Wincenty Potocki około 1773 roku „Bramę zamkową, z wymurowaniem na niej mieszkania utwierdził”¹²⁾.

Gdy w roku 1795 Lublin dostaje się pod panowanie Austrii, i ta niedostateczna zresztą opieka nad upadającymi murami ustaje. Plan zamku sporządzony przez Austriaków około 1807 r. (ryc. 3) pokazuje nam jak niewiele istniało już wówczas z dawnych zabudowań zamkowych. Stan ten potwierdza zresztą kolorowa rycina Seweryna Urrowskiego przedstawiająca zamek w 1814 r. (ryc. 4).

Najlepiej zachowana okrągła baszta służy Austriakom jako więzienie. Nieco wyżej na planie widzimy prostokątny budynek użytkowany na cele sądownictwa. Kaplica zamkowa, dzwonniczka i zabudowania mansjonarskie obok najmniej są zniszczone, a z wspaniałego budynku mieszkalnego, który widoczny jest na sztychu A. Hogenberga, nie pozostały nawet miejscami mury fundamentowe.

Gdy Julian Ursyn Niemcewicz zwiedza Lublin w roku 1816, tak opisuje zamek: „na ten zamek ostatni raz pono patrzyłem. Brał z opuszczonych murów cegłę kto chciał; dziś sam rząd rozbiera ostatki wapiennych kamieni...”¹³⁾.

Etatystyczny rząd Królestwa Kongresowego, prowadząc ożywioną działalność inwestycyjną, postanowił wykorzystać pozostałe mury zamkowe.

Ignacy Lubowiecki, prezes Komisji województwa lubelskiego, tak opisuje rozpoczętą w 1824 roku budowę gmachu: „na górze tego zamku wybudowano w roku bieżącym Gmach Więzienny, na umieszczenie 300 aresztantów z zastosowaniem Architektury do pozostałych starożytnych szczytków. Wieża zaś starożytna w której za dawnych wieków wsiadywano naznaczone kary aresztu, — teraz w tym samym starożytnym Architekcie stylu odnowioną i znacznie przyozdobioną będzie”¹⁴⁾.

W latach 1824—1826 wybudowane zostają budynki frontowy i skrzydło południowe. Skrzydło to wystawione zostało wzdłuż dawnej zewnętrznej linii zabudowy, natomiast część frontową cofnięto do wnętrza wzgórza tak, że zrujnowane części dawnych zabudowań mieszkalnych i bramy znalazły się na jej przedpolu.

Budowa prowadzona była, jak się zdaje, według projektu Stompfa — Inspektora Generalnego Dróg i Mostów, a pod nadzorem Jakuba Hempla, ówczesnego Budowniczego Województwa Lubelskiego.

Architekturę gmachu „dostosowano” do pozostałych szczytków; budynki zaprojektował Stompf¹⁵⁾ w modnym wówczas stylu pseudogotyckim. W wystawionych gmachach znalazły pomieszczenie: są-

downictwo kryminalne, więzienie, trzy sale zarobkowe, lazaret i pralnie dla więźniów. W tym czasie również stworzono nowy dojazd do Zamku od ulicy Grodzkiej oraz uregulowano skarpy wzgórza geometryzując sztywno jego kształt, zgodnie zresztą z ówczesnym smakiem i zasadami. Skrzydło północne przeznaczono początkowo na cele gospodarcze, około 1857 roku nadbudowano dla celów więziennych. Zabudowania gospodarcze postawione zostają na zewnątrz, a dla rozbudowującej się carskiej administracji więzienia przybywają nowe budynki, jeden wewnątrz podwórza i drugi, postawiony około 1900 roku, na zewnątrz przed samym licem frontowym, bez żadnego respektu dla wyglądu zamku. Poza tym w wyglądzie zewnętrznym inne bardziej zasadnicze zmiany nie mają już miejsca.

Dziś, dzięki decyzjom władz partii i rządu, jesteśmy świadkami prac mających na celu adaptację zamku dla celów kulturalno-społecznych całego miasta i województwa. W skrzydle północnym widzimy prace nad przebudową na Dom Kultury oraz Dom Twórczości Ludowej. Skrzydło południowe będzie przystosowane na siedzibę Muzeum Lubelskiego. Kaplica zamkowa i donżon po zakończeniu robót konserwatorskich będą w tej części gmachu najcenniejszymi żywymi jego eksponatami.

Henryk Gawarecki

Przypisy

1. Warstwa spalonego drewna leżąca bezpośrednio na calcu znajduje się na wysokości stopy fundamentowej nowoodkrytej baszty.
2. Długosz Jan. Dzieje Polski. Kraków 1870 t. VIII str. 698.
3. W ilustracji zamku lubelskiego w 1614 roku baszta ta nazwana jest „wieżą żydowską” (A.G.A.D. sygn. Dz. XVIII, Nr 20-f. 265/66) ponieważ wznosiła się od strony dzielnicy zamieszkałej przez Żydów.
4. Lustracja Województwa Lubelskiego w 1570 roku: (W.A.P. Lublin sygn. 246) str. 49.
5. Łopaciński Hieronim. „Najdawniejszy widok miasta Lublina 1618 r.” Warszawa 1901.
6. Prawa Konstytucje y Przywileje Królestwa Polskiego... w Drukarni IKM... w Collegium Warszawskim Scholarum Piarum... 1784 r. Tom II str. 699.
7. Tamże str. 876/77.
8. Lustracja województwa lubelskiego z 1660 r. [W.A.P. Lublin sygn. 247a] str. 105.
9. Tamże str. 65.
10. Zbiór krótki wiadomości szczególniejsze względem dawności założenia Miasta IKM Lublina... Lublin 1785 — wykaz starostów poz. 22.
11. Inwentarz dóbr Starostwa Lubelskiego 1774 r. [W.A.P. Lublin sygn. 249] f. 8v/9.
12. Zbiór krótki... poz. 23.
13. Niemcewicz J. U. „Podróże historyczne po Ziemach polskich”. Petersburg 1859 str. 139.
14. Lubowiecki Ignacy „Statystyka województwa lubelskiego”. Lublin 1824 str. 8.
15. Tomicka W. „Zamek lubelski w XIX wieku” („Ochrona zabytków” R. 1954 Nr 3, str. 195).

Janina Brzostowska
LIST Z NAŁĘCZOWA

Marii Bechczyc-Rudnickiej

Niech wiersz ten będzie jak pozdrowienie
z małego Nałęczowa,
który się dzisiaj w swojej dolinie
w ławice śniegu schował.

Lubił Sienkiewicz tutejsze ścieżki —
zamieć się nimi dziś niesie.
Nad oknem domu, w którym Prus mieszkał,
mróz wianek sopli zawiesił.

Pod Żeromskiego chatą niedużą
stuliły cisy gałązki ciemne
i czas się ścianom sosnowym dłuży
w oczekiwaniu daremnym:

Nie przyjdzie autor „Ludzi bezdomnych“,
przy stole nie zasiądzie.
Zarosły trawy, zawiąły śniegi
ślad jego stóp w ogrodzie.

A przecież został tutaj na zawsze
w słowach, w kolejach zdarzeń:
pragnął tej ziemi przychylić nieba,
o szczęściu dla niej marzył.

Tu, w Nałęczowie, na tajnych kursach
nauczał, stąd jego głos
porywał siłą i wolą walki,
choć nieraz drżał od trosk.

Tutaj na wiecach, tu na zebraniach
przemawiał w dziewięćset piątym,
kiedy w Lipowej Alei kwitły
sztandarów czerwonych lonty.

Może dlatego dziś bez wzruszenia
nie mogą odejść stąd;
serca gorące, najszlachetniejsze
kochały ten Polski kąt.

Janina Brzostowska

Zbigniew Jakubik
O MŁODYCH — NAJPROŚCIEJ

Trudno niekiedy oprzeć się przewrotnemu nieco przeświadczeniu, iż nasi lubelscy (i nie tylko lubelscy) literaci są przekonani, że młodych twórców przynoszą bociany.

O rewolucji można oczywiście różnie. Wymowa codziennej praktyki życiowej nieodparcie jednak sugeruje konieczność przeprowadzenia zasadniczej korekty dosyć rozpowszechnionego u nas stylu znormalizowanego myślenia. Okres

stabilizacji nowej rzeczywistości politycznej oraz ekonomiczno-społecznej dał początek niebezpiecznej tendencji (wypływającej chyba z chęci myślowego otorbienia socjalizmu): traktowania rewolucji jako historycznego już po trosze zjawiska — jednorazowego fenomenu, który zainicjował w ściśle określonym momencie dziejowym skomplikowany proces budowy socjalizmu. Owo powierzchowne „zatomizowane“ spojrzenie na mecha-

nizmy kształtujące oblicze nowej rzeczywistości zamyka się bez reszty w uproszczonym sądzie: rewolucja się skończyła, zaczął się socjalizm. Stąd dominujący dawniej, do dziś nie przezwyciężony całkowicie styl myślenia kategoriami administracyjnymi. Stąd również wciąż jeszcze utrzymująca się, bardzo wyraźna i bardzo bolesna dysproporcja między rozpiętością i intensywnością rewolucyjnych przekształceń ekonomiczno-społecznych a stopniem twórczego zrewolucjonizowania psychiki ludzkiej. To „nienadążanie“, naturalne w pionierskim okresie rewolucji, bo zdeterminowane żelazną logiką praw rządzących rozwojem społecznym, na obecnym „etapie“ staje się zjawiskiem coraz bardziej niepokojącym.

Swoisty „determinizm“ wypływający ze ślepej wiary w automatyczne działanie klasycznej formuły o bycie, który kształtuje świadomość, nie jest na pewno w naszym życiu postawą całkowicie przezwyciężoną. Wykazały to ostatnio, bardzo plastycznie, namiętne, chaotyczne często dyskusje, toczone się na łamach wszystkich niemal czasopism. Najbardziej chaotyczna — dyskusja o adeptach literatury — nie oszczędziła również „Kamieny“.

Choć zasadniczy tenor wszystkich wywodów jest bardzo wyraźny: pryncypialna pretensja do młodych, że są jedynie tacy, jacy są, przy dyskretnym akompaniamencie mechanicznej samokrytyki nieletnich oskarżonych — odnosi się wrażenie, że o młodych twórcach powiedziano albo za mało, albo za dużo.

Już obecnie natomiast (dyskusja zaś z każdym dniem przybiera na sile i ekspresji) stwierdzić można dwa bezsporne fakty:

1) głównym źródłem owych pretensji do literackich „pieszczochów“ jest, jak się zdaje, poczucie bezsilności wobec groźby kryzysu, który coraz plastyczniej rysuje się przed twórczością naszych najmłodszych;

2) swoistym miernikiem tych pretensji, miernikiem, który nadaje im konkretny kształt, kierunek oraz ściśle określone wymiary, jest literacka rzeczywistość międzywojenna: „wzorcowy“ sprawdzian napotykanym na literackim szlaku trudności, istniejących braków i przyswajanych doświadczeń.

Już dziś można również stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że specyficzny kierunek, w którym potoczyła się dyskusja, nie wróży ani szybkiego, ani zadowalającego rozwiązania nawet części aktualnie dyskutowanych problemów. Droga bowiem, którą wytycza ów kierunek, nie prowadzi nigdzie. Fałszywy kierunek determinować musi fałszywe rozwiązania.

W dyskusji nie rozszyfrowano do końca wielkiej prawdy, że młodych pisarzy kształtuje rzeczywistość, w której żyją, zapomniano bowiem, że rze-

czywistość ta jest wielopłaszczyznowa. W konsekwencji przerzucono cały ciężar odpowiedzialności za kształt i za jakość ich twórczości na młode sumienia nieletnich „koźłów literackich“. Wydaje się, że należy powiedzieć gwoili uczciwości jasno i niedwuznacznie: młodzież nie jest taka, jaką chcielibyśmy widzieć, jedynie dlatego, że jest taka, jaką faktycznie ukształtowaliśmy.

Nie wolno młodych obarczać błędami, za które my — gospodarze i autorzy nowej rzeczywistości ponosimy pełną odpowiedzialność.

W zapale dyskusji bardzo szybko zapomnieliśmy — rzeczy przykre bardzo szybko się zapominają — że tę niedoczoną, sztampowo-bezmyślną, megalomańsko-nijaką, bezbarwną młodzież wychowała szkoła, w której my byliśmy pedagogami; że młodzież ta wiedzę swą zdobywała na uniwersytetach, na których my byliśmy wykładowcami i profesorami. W zapale dyskusji zapomnieliśmy, że młodzi i najmłodszy producenci kiepskiej literatury swój smak literacki kształcili na naszych powieściach i naszych poematach, że pierwsze wtajemniczenia intelektualne i warsztatowe otrzymywali na posiedzeniach naszych sekcji twórczych, w ogniu naszych konstruktywnych i zapładniających dyskusji. I nie zmniejsza absolutnie w najmniejszym nawet stopniu naszej olbrzymiej odpowiedzialności obiektywne stwierdzenie, że najmłodszy twórcy wyrosli na przezwyciężanych obecnie błędach poprzedniego „etapu“. Jeżeli ktoś jest bez winy, niech pierwszy rzuci w tę młodzież kamieniem...

Momentem niepotrzebnym, bo zaciemniającym obraz sytuacji, jest odwoływanie się do doświadczeń międzywojennych. Koncepcja Koła Młodych — konsekwencja rewolucyjnego przełamania utartych szablonów myślowych, wyrosła z głębokiej troski o pełny rozwój młodych indywidualności. Jego obecne oblicze jest sprawdzalnym rezultatem nie przezwyciężonego jeszcze nawyku zamykania rewolucji w kategoriach administracyjnych.

Wydaje się, że rozwiązanie skomplikowanego problemu walki o właściwy kształt i wagę gatunkową młodej twórczości uzależnione jest od zrozumienia elementarnej prawdy naszych czasów, że twórczość nie jest i nie może być sprawą wyłącznie czysto osobistą pisarza. Wszyscy bowiem jesteśmy za nią wspólnie odpowiedzialni.

Konsekwencją tej podstawowej prawdy jest postulat wyjścia młodzieży naprzeciw, postawa zrozumienia, szacunku oraz najgłębszego osobistego zaangażowania się (za ich zgodą lub wbrew niej) w ich niełatwą walkę o własne oblicze artystyczne i ideowe. Oni wszyscy bowiem z nas.

Zbigniew Jakubik

PO TRZECH LATACH

Kochana Ewo,

od razu na początku muszę Ci wyznać, że mój dzisiejszy list do Ciebie jest unikiem — unikiem wobec Redaktorów „Kamery”, którzy zamówili u mnie artykuł o lubelskiej młodzieży literackiej, oczywiście artykuł problemowy i zasadniczy, implikujący nie lada znajomość przedmiotu, pełne rozeznania spraw młodzieży i doskonałą orientację w po-odwilżowym gąszczu naszej współczesnej literatury. Tymczasem wydaje mi się, że będzie znacznie prościej i uczciwiej nie zapuszczać się w tak górne i karkołomne regiony, a tylko napisać nieobowiązujący list, który zawierałby odpowiedź na zadane mi kiedyś przez Ciebie pytanie: Jak tam u was w Lublinie z młodymi? Odpowiedzieć nie jako znawca spraw młodzieżowych, bo nim nie jestem, nie jako doświadczony literat i krytyk, bo wiesz jak niewiele mam podstaw i jak dalece nie roszczę sobie pretensji do tych tytułów. Odpowiedzieć zwyczajnie jako człowiek, dla którego lubelskie Koło Młodych było przez trzy lata sprawą nieomal osobistą, jako odbiorca literatury, żywo w nią zaangażowany.

A więc jak jest u nas w Lublinie z młodymi?

Przede wszystkim jest lepiej. Jest lepiej nie tylko dlatego, że w Kole pojawiło się w ciągu ostatniego roku kilka nowych obiecujących jednostek, które już w tym krótkim okresie czasu zdołały zapisać na swe konto wcale poważne osiągnięcia nawet w skali centralnej. Jest lepiej przede wszystkim dlatego, że atmosfera, panująca po III Plenum niezaprzeczalnie zaktywizowała lubelskie środowisko kulturalne. Że czynny od paru miesięcy Klub Stowarzyszeń Twórczych i Pracowników Kultury dał także młodym literatom okazję do szerszej dyskusji i możliwości regularnych, bezpośrednich kontaktów z publicznością. Że „Kamery” stawiają się nareszcie prawdziwym miesięcznikiem nawiązała z młodymi ścisłą współpracę, otwierając im gościnnie swe łamy, że to samo uczynił ostatnio „Sztandar Ludu”, co w sumie rozładowało znacznie „kompleksy druku”, które w ubiegłym roku tak Kołu dokuczały. Że — na koniec — Lubelski Oddział Związku Literatów powziął słuszną decyzję „usamodzielnienia” Koła, nawiązując równocześnie z młodymi bliższy kontakt na platformie swobodniejszej, sprzyjającej stosunkom bardziej bezpośrednim i niewymuszonym. Bo przecież — jak mi się zdaje — samo pojęcie „opiekuństwa” ma w sobie coś takiego, przeciwko czemu młodzież godna tej nazwy buntuje się i wierzga. Nie mówiąc już o tym, że opiekun „z prawdziwego zdarzenia” powinien by łączyć cechy wyjątkowo chyba tylko reprezentowane przez jedną i tę samą osobę: talent wszechstronnego pisarza, wnikliwość bystrogo kry-

tyka, doświadczenie wytrawnego pedagoga! A takiego nie dało swoim młodym nawet najliczniejsze i najzasobniejsze w niepospolite indywidualności środowisko warszawskie.

Zresztą tu nasuwają mi się znów wszystkie wątpliwości, jakimi nieraz się już z Tobą dzieliłam, co do słuszności naszej polityki wychowawczej wobec młodzieży literackiej, co do celowości i przydatności Kół Młodych w ich dotychczasowej formie, z ich dotychczasową praktyką.

Czy można kogoś „nauczyć” literatury? Czy przedwczesny kontakt z środowiskiem literackim, środowiskiem — bądźmy szczerzy! — bardzo specyficznym i nie zawsze najzdrowszym (przypomnę Ci tylko wystąpienie Szolochowa na XX Zjeździe!) — jest korzystne dla ludzi młodych, tym samym wrażliwych i podatnych na wpływy, zwłaszcza złe wpływy? Szczególniej, że w ślad za tym kontaktem idzie najczęściej wyobcowanie się z pierwotnego środowiska, a przynajmniej poczucie wyższości wobec niego? Czy Koła, przystrajające swych członków w nimb „młodych pisarzy”, nim jeszcze uchyliłi oni bodaj furteczkę do literatury, nie sprzyjają przedwczesnemu profesjonalizmowi, „wodzię sodowej”, po prostu megalomanii? Za czym nierzadko idzie wypaczenie słabszych, mniej zdolnych i mniej samokrytycznych jednostek? Czy jedyna właściwie konkretna pomoc, jaką Koła otrzymują — to znaczy subwencja pieniężna, wydawana w lwiej części na honoraria za „wieczory autorskie”, nie przyczynia się do komercjalizacji twórczości literackiej, nim wyszła ona ze stadium embrionu? Czy w rezultacie w bilansie Kół Młodych straty moralne nie przeważają — i to poważnie! — ewentualnych jednostkowych korzyści?

A teraz problem nieco innej natury. Czy zauważyłaś, że od czasu „pryszczatych” nie zarysowała się u nas żadna bojowa grupa literacka młodych, nie obserwujemy obecnie zjawiska, tak znamienego dla różnych epok — samorzutnego zrzeszenia się młodych talentów, pokrewnych światopoglądem, upodobaniami estetycznymi czy choćby temperamentem twórczym? Czy wina za to nie spada po części na dotychczasową organizację „opieki” nad młodymi? Młodzież literacka w Kółach zrzesza się na zasadzie administracyjnej, nie zaś na zasadzie powinowactwa intelektualnego, na platformie wspólności interesów, nie wspólności programu. Może dlatego tak wielu młodych (także i na naszym terenie) pozostaje poza obrębem Kół? Dla jaskrawszego uaoocnienia sprawy wyobraźmy sobie, że w okresie romantyzmu nie byłoby Filomatów, lecz „Koło młodych klasyków i romantyków” pod opieką na przykład „Kozmiana. Pomysł wydaje się paradoksalny, a przecież

tak właśnie — mutatis mutandis — wyglądają nasze Koła Młodych.

A więc i w Lublinie — mimo tradycji „Reflektora” — nie ma żadnej określonej grupy literackiej. Koło Młodych jest środowiskiem niejednorodnym, a zarazem środowiskiem, w którym nie ma jakichś wyraźnych linii podziału, jakichś zjawisk, podpadających pod jedną formułę. Szczupłość liczebna Koła nie uprawnia do systematycznych uogólnień, mimo wszystko jednak mam wrażenie, że postawa niektórych naszych „młodych” pozwala na pewne wnioski, zbliżone do wniosków, wysnuwanych z większego „materiału dowodowego” w ogólnopolskiej dyskusji o młodzieży literackiej. Pozwól zresztą, że dam pokój teoretyzowaniu i ukazać ci po prostu wizerunki naszego poety i naszego prozaika — nie wierne portrety, ale swobodne szkice, w których pewne rysy będą świadomie przerysowane i wyjaskrawione.

P o e t a — jak się łatwo domyślisz — jest bardzo młody, nie tak młody jednak, by nie poczuł na swej skórze dobrodziejstw schematyzmu: schematyzmu w programach szkolnych, w literaturze, w organizacji młodzieżowej, może nawet w Kole Młodych. Że był z natury niepokorny — buntował się, a że jest bardzo młody — nie zawsze rozważał, gdzie kończy się papierowy schemat, a zaczyna prawda. Z właściwą swemu wiekowi przekorą czynił sobie bóstwa z wszystkiego, co było, jest, a przynajmniej wydaje mi się zakazane. Ma więc kapliczkę dla Whitmana i Hemingwaya, Jesienina i Rimbauda, Apollinaire'a i Gałczyńskiego. Namiętnie wchłania świat, choćby mu nawet stawał kością w gardle, a zarazem w młodzieńczym egocentryzmie skłonny jest przeoczyć prawdziwe oblicze świata i twarze innych ludzi. Pożera książki, żongluje nazwiskami, upaja się „izmami”; jego świeża — i wdzięczna! — wrażliwość poetycka przebija się dopiero przez echa cudzych treści i refleksy cudzej formy. „Odwilż” utwierdziła go w nieufności do wszelkich autorytetów. Niezupełnie rozumie, że do szermierki intelektualnej — nawet z zakrytą — nie wystarczy pięści. Wie, że takich jak on nazywają „dekadentami” i jest z tego dumny. Czasem bywa mu tak źle, jak tylko być może, gdy się ma -aście lat. Burzy się jak moszcz, wysadzający korki i przyskający pianą. Czy dasz wiarę, że niektórzy serio się tym gorszą i oburzają? A przecież bez fermentu nie ma wina. Byleby tylko nie trzeba było czekać zbyt długo na wyklarowanie...

P r o z a i k — jak przystało na reprezentowany przez siebie rodzaj literacki — jest starszy i znacznie dojrzałszy. Świat jest już dla niego przedmiotem jak najbardziej obiektywnym i niepokojącym go intelektualnie. Schematyzm nie zdołał go usidlić, „odwilż” nie stała się dlań kataklizmem, bo wcześniej patrzył na niejedno z zdrową ironią. Zaczął pisać od niedawna; data jego pierwszej próby zbiega się bez mała z datą III Plenum. Może to przypadek, ale, jak wiesz, niechętnie wierzę w przypadki, zwłaszcza tak znamienne i wymowne. Prozaik nie ucieka od rzeczywistości i nie

ucieka od współodpowiedzialności za postać współczesnego mu świata. Tematy i problemy umie znajdować na wąskiej ulicy i w ciasnym podwórku. O nim i jemu podobnych pisał W. Mach w związku z „kolumną młodej prozy” w „Nowej Kulturze”: „Autorzy ...spokrewnieni żarliwym zainteresowaniem dla nowej, formującej się moralności. Ich próby to propozycje na literaturę moralitetową, w niewulgarnym sensie dydaktyczną”. W pewnej dyskusji zarzucono Prozaikowi, że jest mało nowoczesny. Myślę, że zarzut nie jest celny. Przecież nowoczesność to nie tylko zreżne stosowanie chwytów formalnych, podpatrzonych gdzie się da — u Joyce'a, u Sartre'a u Hemingwaya.

Nowoczesność to przede wszystkim nowe spojrzenie na ludzkie sprawy, przełamywanie wszelkich zastanych schematów treściowych, umiejętność dojrzwania istotnej problematyki swoich dni — i domyslenia jej do końca. A prozaik umie patrzeć i umie myśleć. I dlatego, jak mi się zdaje, można wierzyć w jego przyszłość.

Spróbowałam więc naszkicować Ci niejako dwa krańcowe bieguny lubelskiego Koła Młodych. Nie potrzebuję chyba dodawać, że między nimi mieści się cała gama żywych indywidualności, może nie mniej ciekawych w swym jednostkowym wyrazie, ale w pewnym sensie mniej typowych, dających mniej pola do ogólnych wniosków.

Chciałabym poruszyć z Tobą jeden jeszcze problem, dający się we znaki we wszystkich środowiskach literackich i paraliterackich, zwłaszcza zaś we wszystkich Kołach Młodych: problem grafomanii.

Wyda Ci się to może truizmem, ale ja osobiście niedawno dopiero uświadomiłam sobie z całą ostrością, że przepięknie między grafomanem a zapożyczonym geniuszem nie ma subiektywnie żadnej różnicy. Obaj wierzą w swe siły i możliwości, obaj żyją nadzieją sławy, obaj pałają miłością literatury. Tylko, że w jednym wypadku wiara jest obiektywnie uzasadniona, sława — należna, uczucie — odwzajemnione. W drugim — wiara opiera się na błędzie, nadzieja jest bezpodstawna, a miłość do Literatury tragicznie jednostronna.

Człowiek, opętany manią słowa pisanego — cierpi, nie nad tym, że pisze źle, bo wówczas po prostu przestałby pisać. Cierpi, że inni nie chcą uznać talentu, o którym sam jest głęboko przekonany, uważa, że dzieje mu się niezasłużona krzywda, popada w gorycz, w zaciętrzewienie, w pretensje do całego świata. Zwłaszcza, gdy przebywa na stopie równości w środowisku ludzi piszących, osiągających sukcesy, wchodzących na drogę zawodowstwa literackiego. I ten problem wydaje mi się jeszcze jednym argumentem przeciwko dotychczasowej organizacji Kół Młodych: bo właśnie Koła, stosując pobłażliwie kryteria w przyjmowaniu członków (a niepodobna do młodzieży stosować kryteriów nazbyt wygórowanych), stają się do pewnego stopnia wylegarnią grafomanów, to znaczy jednostek subiektywnie nieszczęśliwych, których ból nie zda się na nic niko-

mu. Daruj, że nie zajmę się tu grafomanami, którzy odnoszą sukcesy, ale to wykacza już daleko i wysoko poza nasz dzisiejszy temat...

Niezależnie jednak od grafomanów, poczucie krzywdy — i tym razem uzasadnionej krzywdy — zakorzenia się u młodzieży literackiej, gdy nie ma ona dostatecznych i należnych jej możliwości zaprezentowania swych osiągnięć czy choćby prób. Wspominałam na początku, że w Lublinie sytuację rozładowało do pewnego stopnia przejście „Kamena” na miesięcznik oraz życzliwa dla „młodych” postawa „Sztandaru Ludu”. Nie łudźmy się jednak, że te półśrodki zastąpią choćby w naszym odcinku jedyny środek radykalny i skuteczny — powstanie centralnego literackiego pisma młodzieży, pisma, o które nadaremnie dobija się od dłuż-

szego czasu zarówno młodzież pisarska, jak jej starsi przyjaciele.

Nie będę tu powtarzała raz jeszcze wielokrotnie już wytaczanych argumentów. Chciałabym tylko przyłączyć się do opinii R. Matuszewskiego: że pismo takie powinno by powstać w dużej mierze na ryzyko i odpowiedzialność młodzieży, bo tylko w ogniu prawdziwej, nie markowanej walki o swe miejsce pod słońcem Literatury, może ona zyskać prawdziwe, nie iluzoryczne ostrogi pisarskie.

W nadziei, że pismo takie stanie się nareszcie faktem i że na jego łamach zapoznasz się także z naszymi lubelskimi „młodymi” —
przesyłam Ci wiele serdeczności

Anna Jakubiszyn

Stefan Wolski

CZY NAPRAWDĘ JEST TAK ŻŁE Z LUBELSKĄ MŁODZIEŻĄ LITERACKĄ

O lubelskiej młodzieży literackiej słyszy się i czyta coraz częściej. To dobrze. Należy żywić nadzieję, iż docenia ona wagę tej troski, która nie tylko służy jej interesom i przynosi zaszczyt, lecz przede wszystkim do czegoś ją zobowiązuje. Trzeba jednak stwierdzić, że czytelnik pism poruszających te sprawy staje na ogół przed obrazem za mało czytelnym i jest ostatecznie zdezorientowany. To znaczy, że nazbyt często spotyka się z pewną dozą ogólników, na podstawie których mógłby wyrobić sobie nie bardzo pochlebne zdanie o owej młodzieży, a tym samym pesymistyczny pogląd na ważny składnik naszego życia kulturalnego. W dyskusji padło wiele nazwisk młodych kandydatów na pisarzy, ukazały się ich własne wypowiedzi na temat: co daje, lub czego nie daje młodym Związek Literatów. Lecz co wie właściwie społeczeństwo o tych młodych, o ich płynącym z talentu prawie do zaszczytnej ubiegania się o wejście do literatury? Dlatego winni jesteśmy nieco wyjaśnień czytelnikowi, winniśmy mu nieco więcej faktów.

Z dyskusji na łamach dodatku do „Sztandaru Ludu” — „Kultura i Życie” można się było dowiedzieć sporo złego o młodzieży literackiej Lublina. W artykule Antoniego Waliłory „Bunt starości” („Kamena” — Nr 8—9) czytelnik wyczytał, że... „życie literackie naszej młodzieży to nie rwąca rzeka, ale cichy szemrzący strumyk i co gorsze — strumyczek, który szemrze nie na tematy literackie, ale wyplakuje jakieś bytowe pretensje...” Uwaga, trzeba przyznać, nie w jasnych bynajmniej barwach charakteryzującą naszą młodzież literacką. Nieco dalej autor artykułu „poprawił się”, pisząc: „...jednak już dziś ZLP w Lublinie stwierdzić może, że dysponuje nielicznym, ale wartości-

wym narybkiem, którego atmosfera „geografii ignorancji” nie dotyczy”.

W artykule „Młodości, śpiewaj” („Kamena” — Nr 10—12) przedstawiciel młodzieży literackiej, Zbigniew Stepek, zagrzewając kolegów do starań o lot, jeśli nie orli, to bodaj jaskółczy, stwierdza jednak, że „młodzież dzisiejszych czasów nie lata zbyt wysoko”, że „w ogóle niewiele czytamy”, że „jesteśmy nijacy”, że „jesteśmy starzy-młodzi”, że „od chwili wyzwolenia minęło już dziesięć lat. Młodzież jest nadal nijaka” i że „wśród młodzieży dostrzec się daje pewien odcień zniechęcenia”.

Jak widać z tych cytatów, pogląd na sprawę młodzieży literackiej nawet wśród niektórych młodych jest zbudowany z ciemnych barw.

Czyż naprawdę tak jest źle z naszą młodzieżą? Jaka ona jest właściwie? I skąd się ta młodzież wzięła, ta — którą łączy się organizacyjnie z Kołem Młodych przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich? Jaką drogę przebyła? Jakie jest jej „wczoraj” i „dzisiaj”? Spróbuję odpowiedzieć na niektóre z tych pytań.

* * *

Było to pięć lat temu. Ówczesny prezes Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Maria Bechczyk-Rudnicka, zawiadomiła mnie, że Zarząd powierzył mi ujęcie w ramy organizacyjne grupy młodych, którzy zgłaszali od pewnego czasu do Związku swoje utwory. Zgodnie z planami Zarządu Głównego miało powstać w Lublinie Koło Młodych. W ten sposób przypadła mi misja objęcia „opieki” z ramienia Związku nad tym Kołem. Przyznaję, że byłem bardzo przejęty tym zadaniem, lecz przede wszystkim byłem ciekawy młodego narybku literackiego. Przypuszczam, że nie

mniej przejęta była kol. Bechzyc-Rudnicka. Dała temu wyraz biorąc obojętnie udział w posiedzeniu organizacyjnym Koła.

Związek nie miał jeszcze wtedy własnego lokalu, musiał wypożyczyć na zebranie jedną z sal w... Klinice Weterynaryjnej UMCS, gdzie było dużo miejsc i dużo... stajenno-oborowych woni.

Poznałem grupę młodych. Któż to był? Wymienie nazwiska: Czesława Czarnecka-Borkówna, Stefan Czarnecki, Witold Gawdzik, Jerzy Krzysztoń, Zdzisław Łączkowski, Halina Pamfilowicz, Alina Rybicka, Józef Zieba i Stefan Zarębski. Chyba wszyscy. Kilka innych osób, które nieco później przewinęły się przez listę Koła Młodych, bardzo przedko jakoś zrezygnowało i znikło z naszego horyzontu literackiego. Pozostali w większości studenci filologii polskiej z ostatnich lat studiów. To zresztą było stałą przeszkodą w systematycznej pracy Koła. Rozmaicie było z tego właśnie powodu z frekwencją na zebraniach i rozmaicie bywało z nowymi próbami pisarskimi, do których „opiekun” miał moralny obowiązek zachęcać młodszych kolegów. Przypominam sobie, że mimo wszystko współpraca układała się naprawdę dobrze.

Zebrania Koła odbywały się w warunkach szczególnych, o których trudno nie wspomnieć dzisiaj, kiedy w przeciwieństwie do tamtych lat młodzi dysponują normalnym, wygodnym lokalem Związku. Wówczas było inaczej. Związek Literatów Polskich w Lublinie otrzymał lokal w zabytkowej winiarni na Starym Mieście. Cóż to był za lokal! Zwykła piwnica dwuizbowa z dwupiętrowym podziemiem. W takim „lokalu” Związku Koło zbierało się jednak systematycznie. Siadywaliśmy naokoło długiego, ciężkiego dębowego stołu, szcękając zębami z zimna (nawet wtedy, gdy na dworze było ciepło) i oddawaliśmy się dyskusji i analizie. Przedmiotem dyskusji były przeważnie utwory własne członków Koła, jak również tematy ogólne. Na przykład poświęciliśmy dwa posiedzenia na szczegółowe przedyskutowanie artykułu programowego Jerzego Putramenta pt. „Zadania literatury polskiej w okresie Planu 6-letniego i walki o pokój”, zamieszczonego w Nr 3 „Nowej Kultury” w styczniu 1951 r. Moja praca z młodszymi kolegami była naprawdę przyjemna, bo grupa młodych skupiających się w Kole coś jednak reprezentowała; były to niewątpliwie talenty i był poważny stosunek do obranego zawodu. Pamiętam wyniki konkursu rekrutacyjnego, który przyniósł sukces poetce Barbarze Eysymontowej i młodzieńkemu poecie („odkrytemu” wcześniej przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego) Ryszardowi Liskowackiemu.

Czy ci „pierwsi” młodzi literackiego Lublina byli inni niż obecni pod względem pretensji bytowych, narzekań na różne pozaliterackie tematy, niecierpliwości druku itp.? Byli zupełnie tacy sami. Halina Pamfilowicz, delegowana na Zjazd Młodych do Nieborowa, niejedno gorzkie i niekoniecznie sprawiedliwe słowo powiedziała tam pod adresem swoich starszych kolegów z Lubelskiego Oddziału

Związku Literatów. Nie szkodzi. To mówiła młodość, niecierpliwa, impulsive, bojowa młodość, której pilno było do... druku, do sławy i do wejścia do Związku, którą niecierpliwił dystans organizacyjny między Kolem a samym Związkiem.

Po dwóch latach, trudny obowiązek opieki nad Kolem przejęli kolejno koledzy. Nie straciłem jednak z oczu „mojej” grupy młodych. Stosunki między nami były zresztą pełne wzajemnej przyjaźni. Cóż się z nimi dzieje dzisiaj, po upływie pięciu lat? Przyjrzyjmy się ich losom: Czesława i Stefan Czarnecky zostali nieco w tyle, niewiele dzisiaj o nich słyszymy, choć wiem, że nie zrezygnowali... Witold Gawdzik przeszedł z Koła Młodych do Związku i chociaż rozłączył się z Lublinem, niemniej coraz częściej spotykamy jego fraszki i satyry w różnych pismach, nie wyłączając „Nowej Kultury”, „Szpilek” itp. Jerzy Krzysztoń zapowiadał się od razu na tegie pióro. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na nas wszystkich jego pierwsza nowela, z którą zapoznaliśmy się na jednym z posiedzeń Koła Młodych. Były to „Ręce”. Nowela ta weszła w skład tomu pt. „Opowiadania indyjskie”. Tom ten ma już drugie wydanie. Krzysztoń oczywiście tak samo przeszedł z Koła Młodych do Związku. Fala życia jego też rozłączyła z nami; dzisiaj zajmuje odpowiedzialne stanowisko w stołecznej prasie i — jak słychać — wkrótce ukaże się drugi z kolej tom jego nowel. Ostatnio na łamach warszawskiej prasy opublikował on nowelę z nowego cyklu, pt. „Sekret”. Ci, którzy czytali „Sekret”, utwierdzili się w zdaniu, iż przed młodym, utalentowanym prozaikiem przyszłość leży otworem. Halina Pamfilowicz (obecnie zona Krzysztonia) uzyskała sukcesy jako poetka, o czym świadczy wybór jej wierszy, opublikowany w „Almanachu Poetyckim” wydanym w 1955 r. przez „Pax”. Zdzisław Łączkowski również wyładował w Warszawie, gdzie miał już wielki wiecór autorski; wiersze jego ukazują się często na łamach pism literackich. Alina Rybicka została wierną Lublinowi i noweli. „Siedzi” tutaj, jako redaktorka „Sztandaru Młodych” (wydania lubelskiego) i szlifuje swoje prace, z których niejedna drukowana już była w prasie stołecznej. Beniaminek Koła, młodzieńki Józio Zieba, tym różnił się od innych, że był właśnie bardzo młodzieńki. Niemniej jego próby reportaży literackiego były zastanawiająco udane (reportaż z Nowej Huty) albo próby krytyki w rodzaju „Na przykład „Amangelda”, drukowane w dodatku do „Sztandaru Ludu”, który w owym czasie nazywał się „Tygodnikiem Literackim”. Jego również warunki życiowe rozłączyły z Lublinem. Stefan Zarębski szybko awansował z Koła Młodych do Związku i obecnie, po wydaniu przez Ossolineum jego bardzo dobrych przekładów z Goethego (zbiorowa wielka praca pt. „Wybór poezji”) i po druku własnych wierszy lirycznych, jest jednym z najważniejszych kandydatów do awansu na członka rzeczywistego Związku Literatów Polskich. Ryszard Liskowacki „robi” karierę w Szczecinie i — jak wiemy z lektury jego wierszy, które nadsyła do pism lubel-

skich i drukuje w pismach stołecznych, rozwija się wcale dobrze i ma szansę osiągnąć niepoślednie miejsce we współczesnej najmlodszej liryce polskiej.

A więc ten pobieżny przegląd linii rozwojowej lubelskiej młodzieży literackiej, tej „pierwszej“, która zapełniła nazwiskami listę członków Koła Młodych, nie nasuwa pesymistycznych myśli. Odwrotnie. Na przykładzie tej grupy można śmiało stwierdzić, że młodzi zdali wstępny egzamin życia z wynikiem bardzo dobrym i że przeważający procent spośród członków pierwszego lubelskiego Koła Młodych bądź zdecydowanie wchodzi już do literatury, bądź też jest na najlepszej do niej drodze.

A jak jest z dzisiejszą młodzieżą literacką Lublina? Jaka treść talentu i pracy kryje się za nazwiskami, które spotykamy w dyskusji? Oczywiście nie znam tak dobrze sylwetek twórczych tych młodych, gdyż znani mi są oni raczej z publikacji prasowych i z nielicznych kontaktów osobistych. Może więc zdanie, które sobie o nich wyrobiłem, nie będzie pełne. Dobrze zna tę młodzież Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz, która „opiekowała się“ młodymi ostatnio, zanim ogłosili swoje „usamodzielnienie się“. Z pewnością mogłaby ona zabrać głos z większym powodzeniem. Niemniej, opierając się przede wszystkim na publikowanych pracach literackich młodych, można stwierdzić, że zdecydowanie reprezentują oni zdolności, a czasem wyrażnie — talent. Np. Sławomir Sobocki. Na łamach „Nowej Kultury“ ukazała się nie tak dawno jego interesująca, problemowa nowela pt. „Egzamin“. Sobocki nowelą tą z powodzeniem sam zdał egzamin na prozaika i sędzę, że jego przejście z Koła Młodych do Związku jest kwestią najbliższej przyszłości. Dobre nadzieje rokuje również Zbigniew Stepek. O Eugeniuszu Kapuście wiemy wszyscy, że jest już w tej chwili tegim reportażyście, stale współpracującym ze „Sztandarem Ludu“. Władysław Ćwik, Zygmunt Falatycki, Wojciech Kiełczewski, Hubert Krzyżanowski, Andrzej Turczyński — także, jeśli zechcą, dopracują się rycerskich ostróg w literaturze.

Oddzielne słowo należy się Januszowi Andrzejowi Tchórzewskiemu. Jeśli zważy się, że skończył on niedawno siedemnaście lat i że mimo tak młodego wieku już „jest drukowany“, to jasną jest rzeczą, że przy odpowiednim wkładzie pracy może on zająć daleko.

Tak więc przedstawia się nasza młodzież literacka od strony uzdolnień i osiągnięć. Nic nie wskazuje na to, iżby dzisiejsi młodzi mieli gorzej rozwijać się w ciągu najbliższych lat niż ci „pierwsi“, z okresu powstania w Lublinie Koła Młodych. Po co więc tu aż „Bunt starości“ Antoniego Waliigóry? I po co nuty pesymistyczne w wypowiedziach przedstawiciela młodzieży w rodzaju „jesteśmy nijacy“, „młodzież dzisiejszych czasów nie lata zbyt wysoko“ itp.? Obawiam się, że autor tych zwrotów nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jest subiektywny w swym zdaniu. Nie wiem, czy zgadza się z nim cała literacka młodzież lubelska. Chyba nie. A więc mamy do czynienia w tej chwili z grupą młodych ludzi, którzy na odcinku pracy literackiej idą naprzód. Że tu i ówdzie któryś z młodych sam czy w towarzystwie „podnosi krzyk“, że występuje z takimi czy innymi pretensjami bytowymi, to nie szkodzi. Że młodzież chce być drukowana, że ceni siebie wysoko, że jest we własnych sprawach bojowa i że wiele wymaga od starszych kolegów, może nawet nad miarę, to też nie szkodzi. Tak bywało, tak jest i tak pewno będzie, bo to jest właśnie ów głos młodości, niecierpliwej i zapalczywej. Oczywiście nie wiem, co i ile czyta ta młodzież. Lecz jeśli czyta za mało, można brak ten uzupełnić. To nie jest istotne. Istotne jest to, że lubelska młodzież literacka rokuje wcale dobre nadzieje na przyszłość.

Dlatego uważam, że pesymistyczne tony w dyskusji o owej młodzieży nie znajdują oparcia w rzeczywistości i można je zaliczyć do mniej lub więcej histerycznych, fałszywych alarmów. Oby źródłem ich nie była „sztuka dla sztuki“.

Stefan Wolski

Wojciech Kielczewski

TOWARZYSZ BIERUT — W WARSZAWIE

Do Warszawy wróciłeś, oto jesteś...
zimny jak marmur z piedestału.

— Włóżcie, towarzysze, ten obraz do serc —
nieście,
grzejcie Go, Jego serce wam ciepło dawało.

Od dziecka — Wam poświęcił swoje życie,
byście dziś pracować mogli radośnie.

...Płaczenie? nie wstyd płakać! płacicie —
całym sercem, cicho lub głośno.

Jemu nie trzeba współczuć — On był nieugięty,
Jego drogę należy do śmierci pamiętać,
Jemu nie trzeba współczuć — pracował do końca.
Oddajmy się żalości prawdziwie gorącej.

Wojciech Kielczewski

Sławomir Sobocki

SPRAWA OLKA

— Takich nauczycieli nasza organizacja będzie zwalczać nadal. Takich nauczycieli nam nie trzeba! — zakończył Olek uderzając dość mocno dłonią w stół. Odrzucił niecierpliwym ruchem głowy niesforny kędziór czupryny i usiadł ciężko. Jak zwykle po przemówieniach na radzie pedagogicznej, płończy mu policzki i spociły się ręce. Rzucił szybkie spojrzenie na zastępcę dyrektora. Sarski mrugnął okiem wyrażając w ten sposób uznanie. Zaraz potem zaczął dłubać w nosie. Miał ten brzydki zwyczaj.

— Kto chce zabrać głos? — spytał dyrektor nie podnosząc oczu znad leżącego przed nim papieru. Na arkuszu nie było ani jednej notatki i trudno przypuszczać, żeby coś w nim mogło tak przyciągać uwagę. W dużej, zadymionej sali zapanała zupełna cisza. Olek wodząc oczyma po siedzących ma czas przypomnieć sobie swoje przemówienie. Ma czas obserwować reakcję na niego. Obok siedzi dyrektor, w dalszym ciągu nie odrywa oczu od kartki na stole. Potem wymieniony dziś z nazwiska Chmura. Olek przypomina sobie swoje powiedzenie: taki na przykład profesor Chmura,

któremu wystarcza czerwony krawat zetempowski, aby już obniżył stopień. Teraz siedzi sztywno patrząc spokojnie na przeciwległą ścianę. Za nim Sarski. Ręką operującą stale przy nosie zasłania jednocześnie lekki uśmiech na ustach. Następnie Wolak i Godula. Nie wymienił ich wprawdzie z nazwiska, ale uwaga o nauczycielach-groszorbach siedzących na dwóch etatach i nie mających czasu dla uczniów była chyba dostatecznie wyraźna. Z kolei Zagnańska. I ją dziś wspomniął i potępił za amerykański styl życia w ubiorze, dowód wyraźnego kosmopolityzmu i zachęty do bikiniarstwa. Lekceważącym uśmiechem stara się pokryć zmieszanie. Nie bardzo jej się to udaje. Obok niej Jankowski, skrytykowany w dzisiejszym referacie za niewłaściwe podejście do młodzieży. Odmawia on zapytania ucznia wtedy, gdy ten chce się poprawić z dwójki. Mówi teraz coś szeptem do siedzącego obok Wójcika, wyraźnie niezadowolonego z tej rozmowy i pragnącego urwać ją jak najprędzej. Dalej Górecka, uśmiecha się blade do Olka, zadowolona widać, że nie padło dziś jej nazwisko. Wzrok chłopca ślizga się nadal po innych nau-

czyicielach, tych, których wymienił za zły stosunek do młodzieży, za zbyt małe upolitycznianie lekcji i słabą walkę o wyniki, tych, o których bezpośrednio nie mówił, i tych trzech, których wyróżnił za właściwą postawę. Jednak i oni mają miny ponure z wyjątkiem Sarskiego. W panującej ciszy wyczuć może Olek niechęć do siebie, dezaprobatę jego krytyki, ale przede wszystkim strach przed jej konsekwencjami. Nie na darmo po jego wystąpieniu w ubiegłym roku dwóch nauczycieli musiało odejść od września. Do atmosfery tej już przywyki, czuje się w niej bojownikiem słusznej rewolucyjnej sprawy. Przyjemnie jest też widzieć w zachowaniu tych dorosłych ludzi obawę przed nim, siedemnastoletnim chłopcem.

— Kto chce zabrać głos? — powtarza dyrektor pytanie. Odpowiada mu kilka trzasków zapalek towarzyszących zapalaniu papierosów. — Boją się, — myśli Olek i czuje się zwycięzcą.

Z miejsca podnosi się wykładowca historii Pułiński. Olek zna go mało, uczy w szkole dopiero od roku.

— Przemówienie ucznia Sitkowskiego, zarzucające wszystkim prawie nauczycielom brak ideowości, niewłaściwe podejście do młodzieży, groszorbstwo, zawierające szereg innych jeszcze insynuacji, uważam za wystąpienie obrażające radę pedagogiczną. Stawiam wniosek o przekazanie sprawy do zbadania przez komitet partii i po stwierdzeniu oszczerczego charakteru zarzutów wyłączenie odpowiednich konsekwencji wobec przewodniczącego ZMP.

Usiadł wśród braw. Wszystkie twarze udające dotąd obojętność ożywiły się. Tylko Sarski skrzywił się odejmując rękę od nosa, a Olek pokraśniał jeszcze bardziej. Dyrektor wykonał szybki ruch rękami nad stołem. Ruch ten, jakby wygładzający coś do równego poziomu, ruch obu rąk szybko rozsunętych i zsuniętych z powrotem, znali wszyscy. Wykonywał go zawsze, gdy chciał zatuszować jakąś przykrą sprawę. Dziś gestowi temu towarzyszyło jeszcze lekkie skrzywienie ust. Olek wie, że dyrektor nie jest bardzo zadowolony z jego wystąpienia, ale bardziej jeszcze ze spontanicznych oklasków zebranych.

Chłopcu zrobiło się nieswojo. A może rzeczywiście przegiął pałę? Z wątpliwością tą rozprawił się dosyć szybko. Wprawdzie dyrektor nie znał treści jego referatu o współpracy ZMP z nauczycielami, ale niektóre szczegóły uzgodnione były z jego zastępcą. To znaczy, że zarzuty były potrzebne, choć wypadły rzeczywiście bardzo bojowo. A zresztą referat był podobny, jak w ubiegłym roku.

Rozległ się znów głos dyrektora, trochę zachrypnięty, lecz spokojny. Kto chce zabrać głos w sprawie zgłoszonego wniosku? I znów odpowiedziało mu milczenie. Nauczyciele poszeptowali z ożywieniem między sobą, jednak do głosu nikt się nie kwapił. Pułiński podniósł się raz jeszcze. — Proszę o podanie wniosku pod głosowanie — przynaglił przewodniczącego. Jakby ociągając się trochę dyrektor zarządza głosowanie. Za wnioskiem opowiada się

znaczna większość, jednak kilka osób wstrzymuje się. Chłopiec stara się zapamiętać, którzy nie poparli przykrej dla niego uchwały. Widzi, że to samo robi Sarski.

Do domu wraca zaniepokojony i niezadowolony. Czuje, że dzisiejsza sprawa może być zgrzytem w jego karierze. Za zły znak uważa też szybkie zniknięcie wicedyrektora. Jakby nie chciał z nim porozmawiać po zakończeniu konferencji.

Olek Sitkowski wstąpił do organizacji przed trzema laty, w roku czterdziestym ósmym. Po roku został przewodniczącym koła klasowego, a zaraz potem członkiem i przewodniczącym zarządu szkolnego. Zapisał się, bo robiło to wielu innych. Widział zresztą, że w ten sposób łatwiej zostanie kimś. A na tym zależało mu i zależy bardzo. Jest ambitny i chce dojść do czegoś w życiu. Wkrótce praca pochłonęła go naprawdę. Okazało się, że ma zmysł organizacyjny, zyskał szybko autorytet u kolegów, dyrekcja zaczęła mu powierzać różne zadania. Zorganizować masówkę szkolną, wymarsz na pracę społeczną, dopilnować dekoracji szkoły — wszystko to szło mu składnie i wychodziło dobrze. Szybko przekonał się też, że przemawianie nie jest rzeczą trudną. Gotowe zwroty z prasy i poradnika agitatora weszły mu w krew i ułatwiały publiczne wystąpienia. Najważniejsze jednak było, że niedługo po wstąpieniu do organizacji zrozumiał, jak potrzebne były i są w Polsce rewolucyjne przemiany i zaczął o nie walczyć. Walczył z przekonaniem. Nawoływał i zachęcał kolegów do materialistycznego poglądu na świat, do zainteresowania polityką, zaczął gorliwie szukać wrogów klasowych i przeciwników pokoju. Szybko zyskał pewność siebie. Przekonał się też, iż prościej jest załatwiać sprawy organizacyjne niż prowadzić akcję wychowawczą. Nie zniechęcał się jednak jej skromnymi wynikami osiąganymi wśród kolegów. Wiedział, że jest to sprawa, o którą trzeba długo walczyć i walczył z całym zapalem. Rzecz inna, że często ten zapal wyładowywał się właśnie raczej w pracy administracyjnej zarządu szkolnego. Zauważył, jak wielka jest różnica między nim a szarymi masami uczniowskimi. Sądził, że on właśnie musi podciągnąć je na wyższy poziom. Ale zanim do tego dojdzie, musi nimi kierować, chcą czy nie chcą. Nie spostrzegł nawet, kiedy zaczął odnosić się trochę lekceważąco do kolegów. Szczególnie tych z młodszych klas.

Nauczyciele ustosunkowali się do niego rozmaito. Gdy zaczynał swoją pracę, wielu pomagało mu różnymi radami i uwagami. Czasem były to opinie, jak powinien postąpić, czasem ostra dosyć krytyka. Niektórzy zachowali daleką rezerwę, oddzielając wyraźnie lekcje od polityki. Jedni z nich mówili o tym, inni milczeli, lecz postępowali podobnie. Kilku tylko wyraźnie przeciwstawiało się. Mieli mu za złe stałe opuszczanie lekcji, kłuli w oczy zdolnościami, przy których nie stać go na więcej niż dostateczne oceny, wytykali czasami przy innej młodzieży jego błędy. Znalazł się jeden, który wręcz stwierdził, że z tego panoszenia się Olka w szkole nic nie wyjdzie. Ten nie uczy już

od ubiegłego września. Po pierwszym roku jego przewodniczenia w zarządzie szkolnym stosunki z nauczycielami uległy zmianie. Wtedy właśnie przyszedł do szkoły wicedyrektor Sarski. Jakoś od razu znikła niechęć niektórych z nich do Olka. Wielu zaczęło się do niego serdecznie uśmiechać, inni — nawet ci szczerze życzliwi — zlikwidowali krytyczne uwagi. Wszystko w szkole zaczęło wyglądać bardzo ładnie. Olek jednak pamiętał. Tyle tylko, że przestał z czasem rozróżniać tych złośliwych od tych krytykujących życzliwie. Stale miał tyle spraw na głowie, że gdy Sarski pytał go o nauczycieli niewłaściwie ustosunkowanych do ZMP, wyliczał po prostu nazwiska nie bawiąc się w jakieś analizowanie tego stosunku. Sarski sam był młody, kończył dopiero studia prawnicze, często śpieszył się na wykłady, brał więc te nazwiska gotowe, bez omawiania, tak, jak podawał mu je przewodniczący.

Stosunki z dyrektorem były dobre. Sam on nawet podsuwał Olkowi konieczność krytycznych wystąpień na naradzie, chociaż robił to jakoś inaczej niż później Sarski. Od momentu gdy ten przybył do szkoły, na niego spadły wszystkie sprawy organizacji. Dyrektor odsunął się od nich do innych zajęć. Gdy ZMP załatwiło coś dobrze, znalazł chwilę czasu, by Olka pochwalić, kiedy jakaś robota im nie wyszła, kazał omawiać sprawę ze swoim zastępcą. Ten nauczyl Olka nie przejmować się zbytnio niepowodzeniami. W ogóle nie lubił martwić się. Zawsze z siebie zadowolony, pewien poparcia władz, które go do tej pierwszej w jego życiu pracy skierowały, promieniował z kolei tym poparciem na Olka, wyrabiając w nim przekonanie, że szczerzy zapal i śmiałość wystąpień zawsze doprowadzą do właściwego skutku.

— Następnym razem zrobicie to lepiej — kończył zwykle rozmowę, gdy Olkowi coś się nie udało.

Jakoś wkrótce po przybyciu Sarskiego zauważył Olek, że zarząd szkolny — to on. Inni aktywiści nadawali się do ról wykonawców, ale gdy coś trzeba było zdecydować, zawsze zwracali się do niego. Do niego też przychodzili ze skargami na nauczycieli. Ten złośliwie odezwał się o pracach społecznych wykonywanych w czasie lekcji, tamten powiedział komuś, że samo ZMP nie wystarczy mu do promocji. Olek cieszył się, kiedy mógł napiętnować taką wrogą robotę. Czasem zwracał się do dyrektora lub zastępcy o interwencję, która przeważnie dochodziła do skutku. Rzadko bardzo okazywało się, że zarzut jest niesłuszny. Niektóre sprawy poruszał sam na radzie pedagogicznej. Wywiązywała się wtedy przewlekła dyskusja, nauczyciel tłumaczył się, niby to przed dyrekcją, a właściwie przed nim i chociaż zwykle kończyło się niczym, to jednak dawały mu te wypadki poczucie spełnionego obowiązku, a więcej jeszcze osobistej satysfakcji. Bywały jednak i konkretne skutki jego wystąpień. W ubiegłym roku Sarski postawił sprawę jasno: trzeba szkołę oczyścić od szkodliwych elementów. On, Sarski, załatwi to z władzami, potrzeba mu jednak do tego oficjalnego wystąpienia organi-

zacji. Olek wiedział, że młody wicedyrektor nie jest lubiany wśród grona, tym bardziej jednak chciał pomóc temu, równie jak on energicznemu rewolucjonście. Uzgodnili, których nauczycieli i za co zaatakować trzeba w imieniu ZMP na sesji podsumowującej wyniki roku szkolnego. Okazało się, że Sarski nie mówił na wiatr.

Olek przekonany był, że po dzisiejszym przemówieniu znów sprawa rewolucji posunie się naprzód, znów kilku hamujących postęp odejdzie ze szkoły. Zaskoczyła go nieoczekiwana reakcja. Następnego dnia przyszła dalsza przykra niespodzianka. Sarski, do którego zwrócił się z rana z pytaniem, jak będą załatwiać wczorajszą sprawę, zbył go szybko: zobaczymy, zresztą nie wiadomo jeszcze czy dojdzie do wykonania tej całej uchwały. Dyrektor też śpieszył się bardzo i kazał omówić rzecz ze swoim zastępcą. Za to wydało się Olkowi, że niektórzy z zaatakowanych wczoraj nauczycieli chodzą z bardzo pewną miną. Na wszelki wypadek zaraz po lekcjach poszedł do zarządu wojewódzkiego i opowiedział sprawę dobrym kolegom, którzy tam urzędowali. Wiadome było, że w razie czego tam będą o nim zaciągane informacje. — Spokojna głowa — powiedzieli koledzy, opinie masz przecież „taką“, nic ci nikt nie zrobi.

Do wykonania uchwały jednak doszło. Doszło wbrew chęciom dyrektora i jego zastępcy, a nawet wbrew niektórym nauczycielom, którzy, choć w pierwszym podnieceniu głosowali za nią, teraz uważali, że lepiej byłoby całą historię jakoś stłumić. Wiadomo, dzisiaj organizacja zawsze ma rację, a ostatecznie kto chce się przyczepić, ten zawsze coś znajdzie. Większość jednak uparła się przy swoim.

Rok szkolny kończył się już, wszyscy zajęci byli sprawozdaniami, egzaminami wstępnymi, planami na wakacje i cała sprawa, chociaż ważna dla wielu, załatwiana była jakby na uboczu. Przez te kilka dni Olek doszedł całkiem do siebie i przekonany o swojej słuszności spokojnie szedł do komitetu wojewódzkiego, gdy go wezwano. Wiedział, że rozmawiał tam już dyrektor i Sarski, że było tam dwóch czy trzech nauczycieli. Sarski zawiadamiając go o terminie zgłoszenia się w wydziale propagandy powiedział przy tym: tylko spokojnie, grunt ci już przygotowałem. W komitecie czekała go niespodzianka. Rozmawiał z nim dwu towarzyszy. Młodszy mrużył oczy zadając pytania, mówił trochę z góry, wyraz twarzy miał tajemniczy, odnosiło się wrażenie, jakby wiedział już wszystko, zanim jeszcze Olek cokolwiek odpowie na zadaną mu pytanie. W momentach, kiedy z nim rozmawiał, chłopiec czuł się jak na śledztwie. Jednak wtedy właśnie był pewniejszy siebie. Takich działaczy partyjnych znał, ich sposób bycia uważał za normalny i sam go nieraz naśladował w kontaktach z kolegami. Niespodzianką był ten drugi. Starszy, siwy człowiek, ubrany starannie, pytania zadawał powoli, formułował je długo, dużymi oczyma wpatrywał się w Olka bez cienia wyższości, ale za to z widocznym zainteresowaniem, nawet ciekawością. Widać było, jego życzli-

wość, lecz mimo to, a może właśnie dlatego, że tak nie „rewolucyjnie“ w pojęciu chłopca z nim rozmawiał, peszył on młodego przewodniczącego szkolnej organizacji. Olek stracił pewność siebie, zaczął się wahać w odpowiedziach, gorzej jeszcze — zaczął się wahać, czy niektóre z omawianych faktów tak właśnie wyglądały, jak je przedstawiał. Dokąd mówił o spóźnieniu się na lekcje przez nauczycieli, ich uwagach o ZMP, o braku czasu dla uczniów, był spokojny i pewien siebie. Gdy padło pytanie skierowane przez tego starszego, jak często opuszczał sam lekcje, zmieszał się trochę. — Dostyć często. Ma przecież masę zebrań i odpraw. Następne pytanie brzmiało: czy nigdy nie ciągnął korzyści materialnych ze swojej pracy społecznej? W pierwszej chwili zachnął się. — Nie, nigdy. Brał tylko stypendium, jak wielu innych. Po chwili przypomniał sobie jednak jesionkę. Było to przed rokiem, wicedyrektor zauważył, że w ramach stypendiów odzieżowych komitetu rodzicielskiego załatwi dla Olka przydział jesionki. Olek w pierwszej chwili odmówił, powiedział, że jest wielu takich, którzy chodzą ubrani dużo gorzej od niego. Jednak Sarski stwierdził, że za pracę społeczną należy mu się coś przecież, sprawę załatwi się zresztą poza opiekunem samorządu (był nim wtedy nauczyciel źle ustosunkowany do składu zarządu szkolnego)... i Olek zgodził się. Żeby nie ta głupia uwaga Sarskiego, nie przypomniałby sobie pewnie nawet tej sprawy. Inna jeszcze rzecz przyszła mu na myśl po tym pytaniu. Papierosy. Ich palenie jest wzbronione, ale i tak wszyscy starsi chłopcy palili. Palili zetempowcy, traktując to jako małą słabostkę, z której łatwo się można rozgrzeszyć. Gdy się ma tyle na głowie, papieros czasem dobrze robi na zmęczenie. Nie o to jednak teraz chodzi. Tak się jakoś składało, że przewodniczący palili prawie zawsze „cudzesy“. Czestowali go stale wszyscy bliżsi koledzy i uważał to do dziś za rzecz naturalną. Zauważył to właściwie dopiero w tej chwili. Do odpowiedzi nic już jednak nie dodaje. Trzeba zresztą odpowiadać na następne pytanie. — Czy to prawda, że traktuje lekceważąco młodszych kolegów? — Nie — odpowiada krótko, podrzucając przy tym niecierpliwym ruchem głowy opadające włosy. — A czy nie przypomina sobie, że kiedyś przy organizowaniu jakiejś masówki wyraził się: najpierw wejdą na salę koła z klas starszych, a potem to śmiecie z młodszych? Nie, to nie ma sensu. Są tu widocznie dobrze poinformowani. Ostatecznie, nie mówił tego nigdy w jakiejś specjalnie złej myśli. — Tak — odpowiada szybko — przypominam sobie, zdarzyło się to raz. Było to moim błędem, którego muszę na przyszłość uniknąć — dodaje tonem urzędowej samokrytyki. Pytający uśmiecha się lekko i kiwa głową ze zrozumieniem. Nic z wyglądu śledczego, żadnej baczności nie dopuszczającej do przecoczenia słabości badanego, żadnego ironicznego grymasu, tylko to pokiwanie głową i uśmiech zrozumienia, czy może nawet wyrozumienia. To jest właśnie niepokojące. Olek nie boi się teraz o swoją opinię

czy karierę, przestał o nich myśleć, ale zaczyna odczuwać jakiś inny niepokój. Mówi właściwie prawie zupełnie szczerze, ale coś jakby było nie w porządku. W odpowiedziach chyba nawet nie, ale tak jakoś w ogóle. A czy to prawda, że on, przewodniczący zarządu szkolnego, ściga na kłopotliwych? Pytaniu towarzyszy znów uśmiech, tym razem prawie figlarny. Olek przestaje być w tym momencie działaczem młodzieżowym przesłuchiwanym w komitecie i pozostaje ambitnym chłopcem. Nie, to nieprawda, on wie już o co chodzi, to o ten jeden jedyny raz, gdy zdarzyło mu się to na matematyce. Rzeczywiście próbował wtedy ściągnąć, ale to było po całym tygodniu odpraw, prac społecznych, zebrań, księdy to nie miał czasu po szkole nawet zajrzeć do książek. Każdy może przecież się mylić, każdy może być zmęczony. — Jasne — pada odpowiedź przerywająca jego wybuch. Zawstydział się. Nie braku opanowania jednak. Jeżeli każdy, no to i ci nauczyciele, których pół godziny temu za te właśnie niedociągnięcia tak ostro tu krytykował. Zły ma dziś dzień: zamiast zachować spokój i rozsądek, ciągle pozwala, żeby myśli uciekały mu gdzieś na bok, do innych tematów. Tylko właściwie czy do innych?

Na szczęście znów zaczyna pytać ten młodszy. Odpowiada już spokojnie i rzeczowo. Tak, wystąpienia swoje na radzie pedagogicznej opracowywał zwykle sam. W zeszłym roku jego przemówienie na podsumowaniu pracy było uzgodnione dosyć szczegółowo z wicedyrektorem, w tym dostał tylko od niego instrukcję, że ma to być coś podobnego. I znowu wtrąca się ten starszy. — A czy koledzy z organizacji wiedzieli, jakie zarzuty będą w ich imieniu stawiane nauczycielom? — Nnnie, dokładnie nie wiedzieli, koniec roku, brak czasu na takie szczegółowe uzgadnianie, ale przecież zarzuty stawiane były na podstawie ich doniesień. — Czy wszystkie? — No tak, znaczna ich część: to znaczy spora część — poprawia się. Znowu trudno dokładnie uzmysłowić sobie fakty. Znów jakoś dopiero teraz nasuwa się, że większość zaatakowanych to byli ci, do których on lub jego najbliżsi koledzy czuli jakiś uraz. Ale też i zarzuty były prawdziwe, myśli zaraz, potrząsając raz jeszcze głową. — Dziękujemy wam — słyszy wrzescie. — Opinię komitetu poda wam do wiadomości dyrektor, gdy zakończymy badanie sprawy. Z pewnością wiele waszych zarzutów opartych jest na słusznym uwagach, ale zdaje nam się, że forma waszego wystąpienia była trochę nieprzemysłana, zbyt może ostra, łatwo mogliście komuś wyrządzić krzywdę. No, i życzymy powodzenia w dalszej pracy.

Po dwóch dniach w pustym prawie budynku szkoły tchnącej już wakacjami dyrektor zawiadomił Olka o decyzji. Ma we własnym imieniu przeprosić członków rady pedagogicznej za niewłaściwą formę wystąpienia. — Oświadczenie złożysz na moje ręce na piśmie — powiedział dyrektor. — Jeszcze się rozstrzygnie, czy będzie ono w przyszłym roku szkolnym odczytywane. Myślę, że na-

wet nie — zakończył — ale widzisz, trzeba umieć w życiu gładko wychodzić z ludźmi.

Olek przyjął decyzję do wiadomości i odszedł powoli. Samo rozstrzygnięcie było dla niego mniejszym wstrząsem niż mógłby się tego spodziewać. Natomiast nigdy nie zgodzi się na gładkie wycho-
dzenie ze wszystkimi ludźmi. Po to jest rewolucjo-
nista, żeby wrogów zwalczać odważnie i głośno. Od rozmowy w komitecie utkwiała mu w głowie inna myśl i do niej wraca ciągle. Czy ci wrogowie, których tak gorąco zwalczał, byli rzeczywiście wrogami? Czyżby się omylił? Czyżby zbyt po szczeniacku potraktował wielkie idee, które mu się tak podobały? Nikt mu tego nie powiedział, ale ten niepokojąco ciekawy wzrok starszego człowieka z komitetu jakoś tak zaraz, jeszcze tam, nasunął te i podobne myśli. — Ale jeśli by tak było, to dlaczego nikt nie zwrócił mu na to uwagi? Wie dlaczego. I właśnie przez to wie, w którym miejscu zblądził z pewnością. Przecież jeszcze kilka dni temu upajało go, że starsi ludzie bali się być z nim szczerzy. Wcale nie jest przekonany, że robił w ogóle źle, ale to upojenie było z pewnością błędem. Może z niego i wynikły jakieś dalsze? — No tak, ale jeśli by tak było, to dlaczegoż ci do-
rosli ludzie mieli bać się jego, chłopca, ucznia? Z tym problemem trudno dać sobie radę. Stracił wiarę w swoją nieomylność, a także i w swego kierownika — Starskiego. Dlatego pewnie spot-
kawszy go teraz na korytarzu wita się chłodniej

niż zwykle. Tamten, jak zawsze, śpieszy się. — No co, rozmawiałeś z dyrektorem? Po minie widzę, że tak. A ja ci mówię, nie martw się. Nie masz się czym przejmować. Oświadczenie mogę ci napisać. Coś w tym rodzaju: przepraszam za zbyt ostrą formę zawartej w mojej wypowiedzi krytyki, gdyż nauczyciele, jak na przykład — tu wyliczysz kilku, do których nie zgłaszałeś pretensji — pracują dobrze i ofiarnie. Rozumiesz? — mówi z uśmiechem. — W ten sposób spełnisz polecenie i raz jeszcze podkreślisz, że jednak nie wszyscy są w porządku. Poza tym mogę cię zapewnić, że to i tak już odczytane nie będzie. Rozumiesz — tu robi „wygladzający“ gest dyrektora i uśmiecha się znowu — po co wracać we wrześnie do dawnych spraw? No i w ten sposób rzecz przejdzie bez śladu, a my pójdziemy dalej z robotą. — Poklepał chłopca po ramieniu i znikł w głębi korytarza.

Olek patrzy za odchodzącym. Nie, on wie, że dla niego sprawa już teraz nie przeszła bez śladu. — Pójdziemy dalej — myśli — ty może na wyższe stanowisko, ja na upragniony uniwersytet, ale czy właśnie robota pójdzie dalej? I czy w ogóle szła jak trzeba? Czy właśnie należy iść dalej tak samo, nie oglądając się na ślady? To jest dla Olka najważniejszy problem wynikły z rozmowy w komitecie i z całej sprawy. Z tym problemem zostaje wobec rozpoczętych wakacji.

Stawomir Sobocki

Zygmunt Falatycki

ROTUNDA

(Wspomnienie z okupacji. Fragment „Pocztówki z Zamościa“)

Zakratowana jesień
jesień czerwona
w oknie,
nad przełęczą życia
czarna śmierć
przy grobie
zakrzepła krew
cementu
— ja nie chciałem
umierać.

Pyłem światła
zostałem,
mój ostatni testament
wydrapany na cegle,
mój rozstrzelany oddech
niedomówiony sekret
jak kamień.

Nocą śpiewają krzyże
krzyże nad kołyską,
dzwon z Kolegiaty
białą dłońią
matki
kwiaty
kładzie
na wieczną przystań.

Bezimiennym krzykiem
dnia czekam,
czekam
w oślepiej celi,
śmierć ciemniejsza
od nocy...
— Nie strzelaj —
nie strzelaj do
człowieka.

W OGRODZIE

Nad stawem
poranek dziewczyna
warkocz wody
zapina,
z drzewa
strąca
okruchy słońca
zamyślona.

O czym marzysz?
lądzie —
białe chmurki
płyną
dziewczyno,
wierzby płaczą,
a pod wierzbą
chłopaczek
wycięty z papieru.

Władnie
natchnienia
róża
samotna
w alejach
iza duża.
Wciąż czekasz?

Patrz
wiatr
cicho na łodzi
Twoje oczy
odwozi
dwa wiersze
miłości.

Zygmunt Falatycki

Zbigniew Stepek

TELEGRAM

Magda skorzystała z wyjazdu dyrektora w teren. Zamówiła rozmowę międzymiastową.

Kiedy Adam podniósł słuchawkę — w biurze panował niesamowity gwar. Rada Zakładowa zgodziła się na urządzenie hucznego sylwestra.

„Jeśli cały rok solidnie pracowaliśmy, możemy jeden dzień poszaleć“ — motywował personalny.

Magda mówiła: „Tutaj tak cudnie. Śnieg, zima, narty... Przyjedź chociaż na dwa, trzy dni. Sylwestra spędzimy na Kasprowym. Albo na Chochołowskiej. Gdzie wolisz. Ja się postaram o karty wstępu. Wiesz, w oknach zakwitły lodowe szarotki...“

Magda mówiła wiele puszystych jak śnieg a ciepłych, kochanych słów.

„Jak tu coś skombinować?“ — wahał się Adam.

Magda — jakby poprzez drut wyczuła jego myśli. Spytała: „Na pewno będą trudności ze zwolnieniem? Widzisz, może wysłać telegram...“

„Telegram?...“ Tak, to będzie dobre rozwiązanie sytuacji.

* * *

Adam przemyślał całą sprawę z dużą przebiegłością. „A więc — zaciągnął się dymem papierosa — tak będzie najładniejszą, to nie rzuci najmniejszych podejrzeń...“

I następnego dnia z dużym entuzjazmem przyjął funkcję gospodarza zabawy w swoim biurze.

W ogóle w pracy przygotowawcze włożył wiele energii. Zamówił dobrą orkiestrę, zaniósł do drukarni projekt zaproszeń, naszkicował plan występów artystycznych.

„Wreszcie odpowiedni człowiek do organizowania poważniejszej imprezy“ — powiedziała Zosia, zastanawiając się równocześnie nad dekoltem sylwestrowej sukienki.

W przeddzień ostatniego dnia roku Adam zgłosił się do personalnego z telegramem następującej treści: MATKA CIĘŻKO CHORA — PRZYJEŹDŹAJ NATYCHMIAST.

Personalny był ludzkim człowiekiem. Bez trudności udzielił cztery dni zwolnienia.

„A gdyby coś poważnego?“ — powiedział..

* * *

Niepewnym krokiem wszedł do pokoju. Zmęczony całodzienną jazdą myślał tylko o jednym: spać... Nie, jednak nie tylko o tym. Myślał, że z Magdą było cudnie. Żeby tak było dalej. Zawsze. I również — denerwował się nieco z powodu przedłużenia sobie urlopu. „Co powiedzą w biurze? Czy nie domyślą się, że z tym telegramem to po prostu lipa...“

Nie zapalając światła posłał sobie tapczan. Powieki zwierzały się same. Adam nieporządnie rzucił na fotel ubranie. Bez rozsznurowania zdjął buty. Byle prędzej.

„Tak, za kilka godzin trzeba iść do pracy — pomyślał — któraż to godzina?“

Nacisnął guzik nocnej lampki. Lampka oświetliła tekst leżącego na stoliku telegramu:

MATKA UMIERAJĄCA PRZYJEŹDŹAJ NATYCHMIAST.

Zbigniew Stepek

Jan Koczwara

PIEŚŃ O ZIEMI LUBELSKIEJ

(Fragment)

Ziemió, pamiętasz?
Pukała jesień,
zboże nie żęte,
ludzie w lesie.

Uszli z gniewem twoim,
z obrazem palonych zbóż.
Wróg cię krwią poił,
kamienował domów gruz.

Każdy wrogi marsz
ranił cię boleśnie
skrepowaną wraz
z ojczystą pieśnią.

Ziemió lubelska,
bolałaś nad losem naszym.
Jednako nas klęską
gnióti faszyzm.

Jan Koczwara

Janusz Andrzej Tchórzewski BEZ POEZJI

mówimy o tym co napisaliśmy twórczość
o zbiorach słów mówimy obrazy
o dwu słowach mówimy metafora
o sobie mówimy poeci
lecz jakaż to twórczość która nie blysnęła gromem
jakie to obrazy gdy litery nie chcą stać się rzeczami
gdy ze znaczków kreślonych może drżąca ręką
nie wykwitną melodyjne barwy ani barwne melodie
jakie to metafory gdy zamiast skojarzeń myśli
są skojarzenia pustki
jacyż to z nas poeci
kto czyta nasze wiersze
kto je wierszami nazywa
dopóki każda litera nie przesiąknie nami na przestrzał
będziemy jałowo żyli z wierszami lecz bez poezji

* * *

Nie wiem, czy napisałem kiedyś dobry wiersz.
„Nie martw się: masz dopiero 17 lat“ —
mówią koledzy.
Mając 17 lat Rimbaud tworzył cuda.
Jestem jednym z tych,
którym udzielono rabatu
na słuchanie barw.
Koledzy wzdychają:
Tematy wyczerpały się.
O czym pisać?

Rówieśnicy myślą:
„Nie ma białych plam na mapie”.
Czytają o Livingstonie, Pearym.
Placzą z zazdrości.
Nie mamy szczęścia.
Napisałem kiedyś dobry wiersz.
Zgubiłem go na rogu uśmiechu i izer.
Pewno ktoś go podniósł.
Może to Ty?

Janusz Andrzej Tchórzewski

Jerzy Księski

LIRYKA WIECZORU

Zonie

Oczy twoje kocham nade wszystko
I przed każdym je lękiem obronię.
Oczy dobre są jak ognisko
W dni pochmurne, co grzeje dłonie.

Kocham wszystkie twoje twarze:
Uśmiechnięte i smutne
Od zmartwień i od marzeń
Nad naszym jutrem.

Za mało nie było słów,
Gdy rozmawiały oczy.
Teraz chciałbym cię znów
Ramieniem dobrym otoczyć.

Wszystkimi rozstaniami
Tęsknię ciągle od nowa,
Sennymi powiekami
Te same szepczę słowa.

Droga moja, znowu zmierzch zimny.
Siedzisz sama nad książką schylona.
Tęsknota — jak szepcz winny
Dojrzewając musi owocować.

Jerzy Księski

Janusz Danielak

SPÓR O MARZENIA

Rzecz ma być o młodej prozie lubelskiej. Nie zostało to powiedziane w tytule, ale był to unik świadomy. Nie chciałem z miejsca prowokować pytania: czy istnieje coś takiego, jak „młoda proza lubelska”? Sam bowiem nie jestem pewien, czy odpowiedź kategorycznie twierdząca byłaby prawdziwa. A „spór o marzenia”? Ten tytuł wyznacza jakoś „metodę” tych uwag — będę kiócił się z naszymi młodymi prozaikami, tak że ich temat — nasza sprzeczka dotyczyć będzie przede wszystkim przyszłości.

Wśród młodych literatów lubelskich nie ma żadnej zwartej grupy, która miałaby jakiś określony profil artystyczny, która związana byłaby jakimiś wspólnymi dążeniami, wspólnym kierunkiem poszukiwań. Dlatego też „Lublin” jest tutaj pojęciem czysto geograficznym. A zatem, po prostu — są w Lublinie młodzi ludzie, którzy piszą. Jest ich zresztą niewiele. Sprecyzujemy dla ścisłości ich wiek: dolna granica — 17 lat, najstarsi — docierają już do trzydziestki.

Tylko to właśnie wyznacza sens słów „młoda proza lubelska”.

Najpierw kilka uwag o naszych najmłodszych. Jest to jeszcze sfera możliwości, nadziei i wątplenia. Jedno da się chyba o nich powiedzieć na pewno — mają pasję. Jest ostatnio w modzie upominanie się u młodszych właśnie o pasję. Ale nie od rzeczy będzie tutaj przypomnienie pewnej prawdy, która od czasów Kartezjusza już dawno zdążyła stać się banałem: tylko namiętności opanowane, poddane rządóm intelektu, stają się czymś wartościowym. „Czysta” pasja zapowiada anarchizm. Złe to czy dobrze, ale minęły czasy naiwności. Prawdziwa spontaniczność jest zdumiewającym anachronizmem. Współczesna sztuka — to przede wszystkim produkt myślenia.

Nasi najmłodszy dopiero uczą się myśleć. Ruszają na odkrycie świata z zapalem, ale bez kompasu. Radosnym krzykiem obwieszczają odkrycie nowych kontynentów — w rzeczywistości okazuje się, że odkryli małe wysepki, od dawna zamieszkałe przez ludzi, o głębie wyjałowionej już długoletnią uprawą. I piszą, piszą... Wydaje się niekiedy, że zdumiewa ich sama możliwość napisania czegokolwiek. Ulegają urokowi samego pisania. Uwiedzeni przez zdania, oszołomieni obfitością słów, zapominają, że same słowa i zdania nie znaczą nic.

Trudno jest jeszcze odnaleźć tu subtelność — wbrew pozorom bardzo subtelność, szczególnie w ich wieku — granicę między talentem a grafomanią. Sprawę tę rozstrzygnie przyszłość. Ale już teraz można wymienić — chyba bez obawy fałszywych prorocत्व — dwa nazwiska: Janusza Andrzeja Tchórzewskiego i Andrzeja Turczyńskiego. Obaj zresztą dali się już poznać z ciekawych prób poetyckich.

* * *

A teraz o tych młodych, którzy mają za sobą argument przeszłości. U których obszar nadziei jest w jakimś stopniu wyznaczony miarą dokonania. Tutaj, niestety, tylko dwa nazwiska: Sławomir Sobocki i Zbigniew Stepek. Kilka ich opowiadań było drukowanych w „Nowej Kulturze”, w „Kamieniu”, w „Kulturze i Życiu”. Materiał jednak byłby zbyt skromny do rozważań, musimy sięgnąć do innych opowiadań, spoczywających w prywatnych teczках autorów. Niektóre oczekują na druk — inne dla samych autorów są już tylko dokumentem poszukiwań i pomyłek. I tego jest zbyt mało, by pokusić się o jakiegoś „podsumowanie”, by odważyć się na jakiś kategorię sąd, ale dosyć chyba, by zmusić do zastanowienia, wywołać zgodę lub sprzeciw — pokłócić się o marzenia.

Pierwsza refleksja po lekturze opowiadań Sobockiego i Stepka była jakoś bardzo nieważna. Pomyślałem z zalem, że trudno będzie coś zacytować. Był to tylko prywatny żal krytyki, pretensje o to, że uniemożliwiają piękną sztukę cytowania, skazują mnie wyłącznie na trud streszczenia, omawiania, analizy. Potem jednak okazało się, że to blache spostrzeżenie ma bardzo zasadnicze przyczyny.

Prozę Sobockiego cechuje jakiś epicki spokój, niekiedy — zdawałoby się — chłodna obojętność widza. Obojętność ta jest jednak tylko złudzeniem. W rzeczywistości bowiem „epika” Sobockiego jest zaangażowana. Zaangażowana we współczesność.

W prozie Sobockiego epicki spokój narracji kontrastuje z niepokojem moralnych wniosków, jednak epicka wierność wobec zewnętrznego świata nie zawsze jest tu tylko „sposobem”, narzędziem, często — staje się celem. Opis, narracja nigdzie nie prowadzi, wystarczają same sobie. Moralne propozycje przestają być siłą porządkującą, nie wytrzymują natłoku zanotowanych gestów i wydarzeń. Odtworzenie świata zewnętrznego staje się ważniejsze, niż wymierzenie mu sprawiedliwości.

Daleki jestem od zarzucania Sobockiemu kultu czysto mechanicznego odzwierciedlania rzeczywistości. (Wtedy musiałbym spierać się z nim o rzeczy najbardziej zasadnicze, o samą koncepcję sztuki), żadne z jego opowiadań nie jest tylko „obrazkiem”, martwą fotografią przypadkowego kawałka rzeczywistości. Jego sztuka czegoś chce. A jednak „epickość” Sobockiego wydaje mi się niebezpieczna. Intelktualna i moralna treść naszego czasu nie daje się już wyrazić poprzez beznamiętne notowanie faktów, wykracza poza trójwymiarową rzeczywistość. Mniej nas teraz interesuje, co autor widzi, ciekawi jesteśmy bardziej — co o tym myśli. Chcemy, żeby sztuka poszerzała naszą moralną świadomość. Szczegół interesuje nas tylko o tyle, o ile wyraża coś więcej, niż tylko swoją obecność.

Mówić mało a powiedzieć jak najwięcej — taka jest chyba dyrektywa współczesnego pisarstwa. Widoczne jest to także w sferze poszukiwań „formalnych”.

Jest to szczególnie uderzające w tzw. „małych formach”. Nie mam zamiaru tworzenia „poetyki” opowiadania, ale chyba właśnie tutaj obowiązuje zagęszczanie sensu, mówienie przemilczeniami. U Sobockiego zbyt wiele jest jeszcze „pustych miejsc”. Nie sądzę, by chodziło tu tylko o zabieg czysto formalny. Chodzi o pogłębienie spojrzenia. Poza zjawiskami trzeba zobaczyć ich sens dla człowieka. Trzeba dojrzeć „czwarty wymiar” rzeczywistości.

Może się wydawać, że zgłaszam pretensje wygórowane — łatwo jest żądać od innych. Czuję się jednak upoważniony do tego przez samego autora. Jego proza, mimo wszystkich zastrzeżeń, jest prozą z prawdziwego zdarzenia. Gdybym nie wierzył, że jest to tylko zapowiedź, zatrzymałbym się dłużej nad jej urokami. Nie przegapiłbym jej subtelnego humoru, zabarwionego ironią. Zatrzymałbym się nad uczuciem sympatii dla człowieka, współczucia z ludźmi prostymi, jakoś zagubionymi w świecie. Odnalazłbym miejsca, które już teraz są ciekawymi, oryginalnymi osiągnięciami.

Wolałem jednak zająć się sprawą przyszłości.

* * *

Opowiadanie Zbigniewa Stepka „Taternickie ostrogi”, wyróżnione na konkursie, nie jest dla autora ani reprezentatywne, ani charakterystyczne: historia pewnej autentycznej wyprawy, pełna taternickich realiów, zabarwiona specyficznym taternickim humorem — ostatecznie jednak pozbawiona większych ambicji. Tymczasem proza Stepka jest w swych zamierzeniach próbą zaatakowania jakichś naczelnych spraw... Chciałem napisać — spraw człowieka. Zawahałem się jednak.

Na pewno nie najlepsze, ale właśnie charakterystyczne, wydaje mi się krótkie opowiadanie „Telegram”. Jest tutaj koncepcja rzeczywistości typowa dla opowiadań Stepka. Główne spięcia wydarzeń odbywają się przy pomocy Przypadku. Napisałem dużą literę. Nie chodzi bowiem o jakiś zwykły sobie przypadek, często niezbędny do nawiązania akcji. Przypadek u Stepka właściwie przestaje być przypadkiem. Zostaje włączony w sferę przyczynowości, ale przyczynowości — jeśli można tak powiedzieć — moralnej. Ostatecznie dąłoby się to sprowadzić do pojęcia jakiejś opatrności. Wątpię jednak, czy opatrność chrześcijańskiej. Opatrność chrześcijańska bywa bardziej wyrafinowana. Więc może raczej jakaś analogia z grecką koncepcją losu? (Do tego jednak omawianej prozie zbywa na dostojenstwie). Taka koncepcja rzeczywistości sprawia, że niektóre opowiadania są po prostu nieprawdziwe.

Nad prozą Stepka ciąży właśnie „konceptyjność”. Konstruuje rzeczywistość wcześniej niż zdążył ją poznać. Obserwujemy tutaj zjawisko specyficznego „schematyzmu” — do apriorycznej koncepcji rzeczywistości dobierane są „realia”. Wątki filozoficzne szkielec wymyślonego problemu zostaje obdarzony ciałem faktów i zdarzeń, ciałem jednak o dziwnie podejrzanej anemiczności.

Sygnalizuję to jako niebezpieczeństwo, które w przyszłości może zadecydować o niejednej gorzkiej porażce artystycznej. Jako niebezpieczeństwo jednak, które

można przezwyciężyć. Takie opowiadania, jak „Szary i czerwony”, jak, częściowo „Ojcowie i dzieci”, „Biały chleb”^{*)}, „Babcia”, dają przesłanki do nadziei.

Może się wydawać, że walczę u Stepka z tym, czego domagałem się od Sobockiego. Stepek przecież poszukuje jakiegoś głębszego sensu zdarzeń, szuka filozoficznej treści świata. Rzeczywistość ma u niego „czwarty wymiar”. Musimy się jednak porozumieć. Żeby dojrzeć sens zjawiska, najpierw trzeba dojrzeć je samo. Warunkiem „czwartego wymiaru” jest trójwymiarowość. Stepek do świata podchodzi z apriorycznymi uprzedzeniami. Sobocki nie myśli do końca. Stepek — skazuje się na zmyślanie.

Teraz widać już co sprawiło, że nie udało mi się nie cytować. Zarówno prozie Sobockiego jak i Stepka — z zupełnie różnych przyczyn — brak kondensacji. Wierność dla szczegółu u Sobockiego, „rozwadnianie” problemów u Stepka — sprawiają, że w ich prozie trudno jest odnaleźć jakieś charakterystyczne zagęszczenia, skróty myślowe, syntetyczne spięcia.

* * *

Nie pisałem tych uwag piórem umocowanym w zolówskim jadzie. Być może, byłem trochę niesprawiedliwy, nie zawsze uczciwie odmierzałem blaski i cienie. Chyba jednak nie to było najważniejsze.

Janusz Danielak

*) Opowiadanie drukowane w Nr 1 „Kamień” z rb.

KRONIKA KULTURALNA LUBELSZCZYZNY

Z KLUBU ZZPK I STOWARZYSZEŃ TWÓRCZYCH

Panujące wśród działaczy Lublina przekonanie o konieczności nawiązania współpracy pomiędzy poszczególnymi środowiskami twórczymi doprowadziło do powstania Klubu Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych. Polemiki toczone w czasopiśmie literackich, nowe osiągnięcia w literaturze, plastyce, w dziedzinie działalności teatru — wszystko to interesuje pisarzy, dziennikarzy i artystów lubelskich i jest obecnie przedmiotem konstruktywnej wymiany poglądów podczas wieczorów dyskusyjnych w Klubie.

Dyskusje na tematy ideologiczne i estetyczne to główny nurt pracy Klubu. W krótkim okresie jego istnienia przedyskutowano następujące zagadnienia: „Prapremiera sztuki Krzysztofa Gruszczyńskiego „Klucz od przepaści”, „Czy zmierzchn współczesnej powieści?”, „Polityka redakcyjna „Kultury i Życia”, „Sprawy młodzieży”, „Krytyka w prasie”, „Sprawy dnia powszedniego” — W. Owieczkina, „Współczesna plastyka polska”, „Praca Życia Lubelskiego”, „Etyka pisarska” itd. Żywy przebieg dyskusyj i szczerść wypowiedzi świadczą o faktycznym sukcesie tej dziedziny pracy Klubu.

Drugim również ważnym kierunkiem działalności nowej placówki jest organizacja imprez kulturalnych, wieczorów autorskich literatów, wystaw malarskich, odczytów z różnych dziedzin życia i nauki, przedstawień estradowych. W tym zakresie ma Klub również poważne osiągnięcia. Np. w lutym odbyło się tu ok. 20 imprez, takich jak: wieczory prozy i poezji młodych literatów, dwa wieczory autorskie literatów — seniorów, „przegląd spraw międzynarodowych”, „przegląd bibliograficzny”, odczyt o twórczości dramatycznej Musseta. Przy Klubie utworzona została estrada poetycka, której pierwszy występ należy określić jako udany: grupa aktorów Teatru Państwowego odegrała fragmenty utworów dramatycznych Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego. Dużym powodzeniem cieszyły się również występy „Szopki lubelskiej”.

Notując ten sukces Lublina, jakim jest powstanie Klubu Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych, trzeba apelować do innych ośrodków o pomoc. Udział ich przedstawicieli w niektórych dyskusjach i spotkaniach w Klubie wniósłby nową myśl. Pisarze i artyści — przede wszystkim warszawscy — nie powinni odmawiać zaproszeniom, które wkrótce zostaną do nich przez Klub skierowane.

W pozytywnym obrazie zmian, jakie zaszły w życiu kulturalnym Lublina, nieco miejsca należy poświęcić tyle razy krytykowanej „Estradzie”, która zerwała wreszcie z zasadą dominowania spraw handlowych nad artystycznymi. Wyrazem tego jest szereg udanych i dobrze przyjętych zarówno przez publiczność, jak i prasę imprez estradowych. Na konto zasług „Estrady” zapisać należy np. 4-dniowe występy Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Lublin zaczyna „przyzyczać się” do imprez stojących na odpowiednim poziomie artystycznym.

Trzeba jednak zaznaczyć, że równoległe do wysiłku przedsiębiorstwa nie kształtuje się pomoc ze strony miejscowych władz i działaczy kulturalnych, np. w rozwiązywaniu tak istotnego zagadnienia, jak kształcenie kadr artystycznych dla zespołów estradowych. Nieusprawiedliwione jest także lekceważenie potrzeb lokalowych. Prezydium MRN w Lublinie nie interesuje się faktem, że „Estrada” nie dysponuje salą na próby i występy (odbywają się one nadal w kinie „Wyzwolenie” nieprzystosowanym całkowicie do tego rodzaju imprez).

E. G.

EKSPOZYTURA POLSKIEGO RADIA W LUBLINIE NA NOWYM ETAPIE PRACY

Praca Ekspozytury Pol. Radia w Lublinie nastawiona jest na rozwijanie zagadnień swego województwa, na podkreślenie cech charakterystycznych swego terenu, na powiązanie się jak najserdeczniej ze słuchaczami i słuzenie im radą oraz pomocą w różnych sprawach, z którymi się często do Radia Lubelskiego zwracają. Około 200 tysięcy ludzi codziennie odbiera na wsi program naszego ośrodka. Są to przeważnie chłopi, którzy mało lub wcale nie czytają naszej prasy; jedynym źródłem ich informacji jest właśnie radio. Toteż wszystkie powiaty, z wyjątkiem polskiego, mają swoje radiowęzły. Należy tu napomknąć, iż Wojewódzka Rada Narodowa i Zarząd Łączności powinny przeprowadzić radiofonizację i w tym powiecie, który nie wiadomo z jakich przyczyn jest pozbiawiony łączności radiowej. O tym, jak ostatnio wzrasta kontakt Ekspozytury z terenem i słuchaczami, mówią przede wszystkim listy. W grudniu Radio otrzymało listów 400, w styczniu — 580, a w lutym — 620. Przy tym charakterystyczną rzeczą jest to, iż w listach powtarzają się nie tylko różnego rodzaju skargi, ale słuchacze dyskutują także na różne tematy, w związku z zagadnieniami poruszonymi w audycjach lubelskich. Lubelska ekspozytura rozbudowuje się z roku na rok i dziś już liczy 21 osób personelu. Od 1 stycznia na czele tej ekspozytury stanął ob. A. Lekki, członek Związku Literatów Polskich, niedawno przybyły do Lublina z Poznania.

Ułatwieniem w docieraniu do wsi i miasteczek Lubelszczyzny jest niedawno otrzymany przez Lublin wóz transmisyjny z pełnym wyposażeniem, umożliwiającym nagrywanie reportaży dźwiękowych. Ponadto Lubelszczyzna jest województwem rolniczym

i ma do wypełnienia szereg zadań specyficznych dla rolnictwa, przeto Ekspozytura Polskiego Radia razem z Wojewódzkim Zarządem Gminnych Spółdzielni w Lublinie zorganizowała z okazji II Kongresu Spółdzielczości Zaopatrzenia i Zbytu wielki konkurs odpowiedzi na trzy pytania:

- 1) Co zawdzięczasz Gminnej Spółdzielni, w jakim stopniu pomogła ci ona w prowadzeniu gospodarstwa indywidualnego lub zespołowego?
- 2) Co należałoby usprawnić w pracy waszego GS?
- 3) Jakie należy uczynić zmiany w statucie w zakresie uprawnień i obowiązków członków oraz organów samorządowych?

Autorzy najlepszych wypowiedzi otrzymają cenne nagrody (rower, opryskiwacz, brona, biblioteczka rolnicza itp.). Tego rodzaju podejście do istotnych zagadnień i zadań Lubelszczyzny nie tylko dają pracownikom Lubelskiej Ekspozytury doświadczenie w pracy terenowej, ale i bardzo ściśle wiążą ich ze słuchaczami na wsi. Ostatnio także audycje młodzieżowe Lubelskiej Ekspozytury zyskują sobie coraz więcej słuchaczy i coraz większą popularność wśród młodzieży, o czym świadcza na przykład niedawno otrzymane 42 listy w odpowiedzi tylko na jedną z audycji.

Tak więc podczas gdy Ekspozytura pełni nadzór nad powiatowymi radiowęzłami — starając się wpływać na dobry poziom audycji — jest ona zarówno środkiem powszechnym informacji fachowych, rozrywkowych i politycznych, jak i w pewnym stopniu ośrodkiem urabiającym opinię i wychowawczym. Toteż należałoby zaapelować do władz centralnych Polskiego Radia, aby uwzględniając potrzeby polityczne i kulturalne terenu — Lublin, tak jak obecnie Białystok (który jest przecież mniejszym miastem od 120-tysięcznego i rozrastającego się Lublina), mógł uzyskać jak najszybciej możliwość nadawania własnego programu na antenie ogólnokrajowej.

WYSTAWA PLASTYKÓW AMATORÓW

W lutym urządzona została staraniem Wydziału Kulturalno-Oświatowego WRZZ i Lubelskiego Okręgu ZPAP Wystawa Plastyków Amatorów w sali Muzeum Lubelskiego. Na wystawę tę przysłano ponad 700 prac, wykonanych w różnych technikach. Na ekspozycję zakwalifikowano około dwustu. Mieliśmy możliwość oglądać prace o nadspodziewanie wysokim poziomie. Ciekawą jest rzeczą, że z wyjątkiem Chelma stosunkowo mało prac nadesłano z tzw. „terenu”. Sam Lublin dał natomiast ponad pięćset prac. Najliczniej reprezentowana była młodzież studiująca. I w tym jest pewne nieporozumienie, jeśli chodzi o nazwę wystawy, gdyż prace, które okazały wysoki poziom techniczny, są właściwie pracami uczącej się młodzieży ze szkół plastycznych. Osiągnięć „prawdziwych” plastyków amatorów w ścisłym słowa znaczeniu — prawie nam nie pokazano. Nie żałujemy jednak obejrzenia interesujących prac młodych — absolwentów.

Wystawa Plastyków Amatorów była ważnym odkryciem w tym sensie, że ujawniła istnienie na te-

renie Lubelszczyzny nowych, nieznanych dotąd talentów, których dalszym rozwojem powinienem zaopiekować się zarówno lubelski oddział Związku Plastyków, jak i Wydział Kulturalno-Oświatowy WRZZ.

DZIAŁALNOŚĆ WOJEWÓDZKIEJ KOMISJI STYPENDIALNEJ IM. F. CHOPINA

Nie wszyscy wiedzą, że w Lublinie istnieje i działa Wojewódzka Komisja Funduszu Burs i Stypendiów im. Fryderyka Chopina. Komisje takie zresztą znajdują się w każdym wojewódzkim mieście; w Warszawie zaś działa Centralna Komisja, która koordynuje działalność poszczególnych swych wojewódzkich placówek. Jest to instytucja o charakterze społecznym, mająca na celu propagowanie wśród najszerzych rzesz znajomości muzyki chopinowskiej, a także pomoc dla młodzieży uczącej się w szkołach muzycznych i specjalizującej się w pianistyce. W skład prezydium Komisji wchodzi przedstawiciele Wojewódzkiego i Miejskiego Wydziału Kultury, Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, Związku Pracowników Kultury, dyrektor Podstawowej Szkoły Muzycznej i Liceum Muzycznego oraz szereg działaczy społecznych i kulturalnych. Lubelska Komisja Stypendialna wyróżnia się tak w zakresie szerzenia propagandy i kultu twórczości Chopina, jak też w zakresie gromadzenia funduszy. Skutkiem jej celowej działalności propagandowej szereg instytucji spółdzielczych przekazało z końcem roku swe nadwyżki budżetowe na cele Komisji Stypendialnej. Jakkolwiek bowiem spółdzielnie rzemieślnicze mają odgórne zalecenia, by nadwyżki swe przekazywać na

cele Komisji, to jednak częstokroć przesyłają je do swych central automatycznie, zapominając o wspomnianych zaleceniach.

Wpływy na rzecz Komisji Stypendiów i Burs przekazywane są do Warszawy, gdzie Centralna Komisja, otrzymująca takie wpływy z całego kraju, rozdziela je odpowiednio dla poszczególnych oddziałów wojewódzkich. W roku bieżącym, który jest rokiem reorganizacji tej instytucji i nie przyniósł Centrali takich wpływów, jak zazwyczaj, Warszawa, biorąca pod uwagę przodownictwo komisji lubelskiej w pracach propagandowych, przyznała na razie tylko Lublinowi sumę, przeznaczoną na stypendia dla młodzieży i dzieci Szkół Muzycznych, podczas gdy w innych miastach wypłaty na razie zostały wstrzymane. W rozprowadzaniu pamiątek, znaczków, żetonów, propagujących twórczość Chopina, bardzo wydawnie pomogło działaczom Komisji Stypendialnej — Społeczne Ognisko Muzyczne w Lublinie, choć uczniowie jego nie korzystają ze stypendiów chopinowskich. Również pomógł Zarząd Oddziału Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w Lublinie, który użycza Komisji Funduszu Burs i Stypendiów im. F. Chopina w swej siedzibie stałej — lokum na posiedzenia i wszelkie zajęcia, związane z jej pracami.

W tej chwili trwają przygotowania do publicznego Koncertu Stypendystów, prowadzone przez Szkołę Muzyczną. Na koncercie tym społeczeństwo lubelskie usłyszy kilkunastu najmłodszych i najzdolniejszych pianistów Lubelszczyzny.

H. S.

Z życia młodzieży

O KLUBACH STUDENCKICH

Wiemy, jak wygląda pokoik studencki w Domu Akademickim przy ul. Langiewicza: 4 łóżka, szafa, stół, jakieś krzesło — i już swobodnie nie można się poruszać. Z trzech takich pokoików, przez usunięcie ścian, utworzono lokal Klubu Studenckiego.

Dzisiaj — zamiast 12 czy 15 mieszkańców — lokal wypełniony jest po brzegi głowami studentek i studentów UMCS. Staram się w przybliżeniu ustalić liczbę obecnych: tak, co najmniej trzysta osób. Krzesła i stoliki usunięto — wykorzystany jest każdy skrawek miejsca, parapety okien. Na korytarzu spore grono tych, którzy już do sali nie wejda. Dzisiaj gra Zespół Rytmiczny Akademii Medycznej i śpiewa kol. Teresa Diabelec.

— Rzadko Klub jest tak zapełniony, zwykle z frekwencją mamy pewne kłopoty... — mówi kierowniczka Klubu w Bloku B.

Kluby Studenckie w Domu Akademickim UMCS (Blok A — męski i B — żeński) powstały w październiku 1955 roku. Inicjatorami były władze uczelni i studenci. Między Klubem bloku żeńskiego i męskiego istnieje ścisła współpraca — kierownictwo stara się, by ciekawsze imprezy nie kolidowały ze sobą.

Klub wytyczył sobie dwa zasadnicze cele: podnosić wszechstronnie poziom intelektualny młodzieży i dać jej interesującą rozrywkę.

Dotychczas zorganizowano już szereg ciekawych imprez: wieczór poezji Gałczyńskiego, dyskusję o miłości, otwartą próbę Zespołu Dramatycznego prowadzonego przez Jadwigę Grossman, wieczory autorskie Marii Bechzyc-Rudnickiej, Eugeniusza Gołębiowskiego itp.

Plany na przyszłość są — można powiedzieć — imponujące. Powstać ma szereg kół (odpowiednio do zainteresowań młodzieży): miłośnicy literatury zajmowałiby się popularyzacją klasyków prozy i poezji oraz twórczością własną studentów (kierownik informuje, iż jest wiele studentek i studentów, którzy „coś piszą” — i to nie tylko z Wydziału Humanistycznego). Powołano by do życia koło muzyków, które miałyoby na celu przyzwyczajanie do słuchania muzyki poważnej. Koło plastyków urządzałoby wystawy reprodukcji słynnych mistrzów, zaznajamiałoby z malarstwem, rzeźbą, grafiką, może nawet prowadziłoby „kurs rysunkowy”. Powstać by mogło koło fotografików — no i różne dyskusyjne koła naukowe.

Plany piękne. Nasuwa się jednak pytanie: czy zostaną zrealizowane? Dlaczego to wciąż tylko plany?

Przecież Klub istnieje od października ubiegłego roku...

A teraz — bolączki i dezyderaty.

Studenci pragnęliby, aby Klub stał się miejscem zbliżenia profesorów i pracowników nauki z młodzieżą. A dotychczas — niestety... Kierownictwo zastanawia się nad formami współpracy z uczelnią o nieco innym charakterze — z KUL. Sprawa ta wydaje się być argumentowana słusznie: przecież jesteśmy młodzieżą tego samego środowiska lubelskiego. I wreszcie — bywalcy Klubu to przeważnie młodzież Wydziału Humanistycznego. Prawda, że studenci Wydziału tzw. „Matfizchem“ mają więcej zajęć, jednakże mogliby i oni wziąć czynny udział w życiu Klubu — na pewno z korzyścią dla siebie. Bo zasadnicze założenie Klubu jest bardzo słuszne: nie wypuszczać w życie „specjalistów“ o pewnej wąskiej dziedzinie zainteresowań, ale ludzi pełnych, umiających ocenić piękno muzyki i rzeźby, reagujących na piękno słowa i barwy.

„ŻYCIE UMCS“ NA CENZUROWANYM

Każda wyższa uczelnia skupia wokół siebie dostateczną liczbę ludzi związanych wspólnymi zagadnieniami naukowymi i życiowymi, by pewne problemy mogły znaleźć odzwierciedlenie we własnym jej piśmie.

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej powołał do życia w 1954 r. organ pracowników i studentów — „Życie UMCS“. Początkowo pismo to w małym, broszurowym formacie, ukazywało się bardzo nieregularnie, ostatnio przeszło na większy, gazetowy format i Kolegium Redakcyjne stara się dostarczać go swym czytelnikom raz w miesiącu.

Kiedy przeglądamy egzemplarze „Życia UMCS“, łatwo zauważyć, że stosunkowo dużo w nich miejsca zajmują publikacje profesorów i asystentów, pracowników naukowych. Niestety, są to jednak przeważnie artykuły o charakterze sprawozdawczym, statystyczno-informacyjnym.

Sporo uwagi poświęca się również studenckiej organizacji ZMP. W ostatnim okresie temat młodzieży nie schodzi ze szpalt różnych czasopism. Szkoda tylko, że studenci ograniczają swe wypowiedzi do krytyki — oczywiście trudniej jest wyszukiwać nowe rozwiązania, ale trud ten warto podjąć.

Lamy „Życia UMCS“ stoją otworem dla twórczości własnej. Zaskakuje pewien problem: wiemy, że młodzi piszący prozą czy wierszem, rekrutują się nie tylko spośród studentów filologii polskiej — a dział twórczości własnej w „Życiu UMCS“ jest zasadniczo tylko domeną polonistów. Komitet redakcyjny powinien zwrócić uwagę na to, by „Życie UMCS“ nie musiało zmienić nazwy na „Życie Wydziału Humanistycznego UMCS“.

Bardzo celowe i słuszne jest zamieszczanie w piśmie materiałów i uwag krytycznych z terenu domów akademickich, stołówek, publikowanie dyskusji na temat sesji egzaminacyjnej i życia kulturalnego.

Więcej dyskusyj — to powinno być założeniem Komitetu Redakcyjnego, a w ten sposób pismo ożywi się, zdobędzie większą popularność.

Redagowanie pisma — zdajemy sobie z tego sprawę — nie jest rzeczą łatwą. Redakcja „Życia UMCS“ skarży się na brak osobnego lokalu, brak maszynistki.

Kamena nr 3/1956

Słusznie myśli o tych trudnościach. Ale na razie, przy możliwościach, jakimi rozporządza, należy nieco większą uwagę zwrócić na adiację nadsyłanych materiałów (nawet kolegów polonistów, tak!), korektę, no i na łamanie pisma... bo to nieładnie, jeśli sąsiadują z sobą artykuły: o stołówce akademickiej, o Ildefonsie Gałczyńskim i o ZMP.

Życzymy dalszej owocnej pracy.

DWUTYGODNIK AKADEMII MEDYCZNEJ

Podoba mi się stanowisko zespołu redagującego „Życie Akademii“. Skromnie, ale szczerze i jasno sprecyzowane: pragniemy być tylko piśmie uczelnianym, ale chcemy, by życie naukowe, kulturalne i bytowe naszej uczelni znalazło w piśmie jak najwyraźniejsze odbicie, by nasze pismo było i poczytne, i pożyteczne.

W tej chwili gazetka Akademii Medycznej (pierwszy numer ukazał się 15 lutego ubiegłego roku) wychodzi w nakładzie 1000 egzemplarzy. Liczy ona 200 stałych prenumeratorów — pozostałe numery rozprowadzane są przez kolporterów studenckich na poszczególne lata studiów.

„Życie Akademii“ wychodzi dosyć regularnie jako dwutygodnik. Lamy swe poświęca w większości aktualnym zagadnieniom studiów. Wystarczy przejrzeć kilka numerów, by wyczuć specyfikę medyczno-farmaceutyczną. Nawet — w dziale satyry i homoru (zarówno rysunki, jak i tekst), który to dział prowadzony jest dość interesująco.

Na duży plus redakcji należy policzyć utrzymywanie kontaktu z terenem, z absolwentami, których nakaz pracy oddalił od uniwersytetu lubelskiego.

Chętnie do uczelnianego pisma przysyłają materiały profesorowie, pracownicy naukowci. Z artykułów tych odczytujemy, jak bliska jest im sprawa młodzieży, życie naukowe, prywatne i kulturalne studentów (szczególnie ważki artykuł prof. S. Grzyckiego „W walce o typ wzorowego studenta“ — „Życie Akademii“ nr 10).

Na podkreślenie zasługuje decyzja wydawania raz w miesiącu „Dodatku Naukowego Życia Akademii“. Pierwszy numer Dodatku ukazał się już w styczniu bieżącego roku. Dodatek Naukowy zawierać będzie informacje o rozwoju życia naukowego w klinikach i zakładach teoretycznych, o osiągnięciach medycyny i farmacji za granicą.

Na te słuszne założenia redakcji — ścisłego związku pisma uczelnianego ze sprawami bardzo specjalnymi i dla medyków i farmaceutów bardzo żywotnymi — pada pewien cień. W „Sztandarze Ludu“ ukazał się kiedyś artykuł Zygmunta Mikulskiego, mocno krytykujący „Życie Akademii“. Może nie wszystkie zarzuty były słuszne, ale Zygmunt Mikulski bardzo trafnie zwrócił uwagę na sprawę języka. Kolegium redakcyjne nie powinno zapominać, że studentów medycyny i farmacji, ludzi, którzy zdobywają wyższe wykształcenie, obowiązuje znajomość języka polskiego. Pomijam błędy ortograficzne, które wynikać mogą z winy korektora czy drukarni, ale wiele, bardzo wiele do życzenia pozostawia gramatyka, składnia i styl materiałów zamieszczanych w tym pożytecznym piśmie Akademii Medycznej. 106

Książki z frontu walki o teatr idei

Miniony rok przyniósł w zakresie krytyki teatralnej kilka książek, o których warto powiedzieć, bo są objawem dodatnim i zwiastującym z dawną oczekiwaną przemianę w naszym życiu teatralnym. Znamienny jest już sam fakt ogłoszenia nagle aż czterech książek o teatrze, z których każda zapowiada całą serię. Widocznie jest o czym pisać, jest też pisać dla kogo. Dodajmy, że każdy z zbiorów ma wyraźną tendencję, każdy z osobna walczy o inny, lepszy teatr, a razem te podjazdowe, samotne walki łączą się w atak frontalny, który powinien doprowadzić do reformy i poprawy teatru i nie tylko samego teatru.

„Pisałem tylko wtedy, kiedy szło mi o coś więcej, niż o sam teatr” — wyznaje Jan Kott w spotkaniu pierwszym „Jak wam się podoba⁽¹⁾”. „Felietyony w tej książce są z lat dziesięciu — dodaje na wstępie — i nie wszystkich sądów bronilibym dzisiaj. Ale bronić będę kierunku uderzenia i dalej uważam go za słuszny. Inaczej nie ogłaszałbym tej książki”. Dobrze się stało, że książka wyszła. Czekamy na dalsze „spotkania”. Czytać Kotta jest bowiem dużą intelektualną rozrywką i te świetnie pisane eseje pobudzają do myślenia. Skorzysta z nich przede wszystkim miłośnik literatury i kierownik artystyczny, teatru, znacznie mniej aktor czy reżyser, bo rozważania Kotta o teatralnym warsztacie są często dowcipne, ale rzadko instruktywne. Czasem rzeczy ważne i istotne z dziedziń scenografii i gry aktorskiej zaliczają tylko fajerwerkami błyskotliwych słów.

Kott ocenia kolejno premiery łódzkie, potem wrocławskie, wreszcie warszawskie w latach 1945—1954. Mówi nieraz rzeczy ciekawe i nowe. Czasem jednak, np. przy omawianiu dramatów romantycznych, przeprowadza analizy, z którymi trudno się pogodzić. Natomiast zawsze ma rację, kiedy uderza w politykę repertuarową, w marazm, w niewłaściwy stosunek do wielkich tradycji, gdy narzeka, że gramy za mało sztuk i ciągle sztuki te same, gdy ciężko wzdycha: „Grają teatry, ale w teatrach coś nie gra”; gdy trafnie dowodzi: „Wzbogacenie repertuaru jest dla naszych teatrowców sprawą w tej chwili najważniejszą”.

Wojciech Natanson, autor sprawozdań teatralnych pt. „Chwyty i zachwyty”, wydanych lat temu przeszło dwadzieścia, teraz wystąpił z nowym tomem „Szkiców teatralnych⁽²⁾”, w których przeprowadza rozbiór spokojny, rzeczowy i gruntowny dzieł dramatycznych polskich pisarzy (Mickiewicz, Słowacki, Fredro, Bliziński, Rittner, Kisielewski, Żeromski) i kilku obcych autorów (Szekspir, Moliere, Cechow). Z jego analiz wiele zyska i widz, i aktor, i reżyser, bo krytyk umiejętnie omawia wykonanie głównych ról i sposób ujęcia całości. Mówi o teatrze ze znanstwem i życzliwością, polemizuje argumentami dobrze świadczącymi o erudycji krytyka. Ze szczegółowym zainteresowaniem czytałem zwłaszcza szkice „Nowe spojrzenie na

Moliera”, analizę „Mizantropa” i „Szkoly żon”. Do bardzo ciekawych zaliczyłbym również rozbiory komedii Fredry. W całym zbiorze budzi szacunek dbałość o dobre odczytanie myśli autora, o staranne przekazanie ich przez reżysera i aktora. Uderza jednak czytelnika zupełne pominięcie w „Szkicach teatralnych” współczesnego repertuaru. W tym poważnym braku zbioru, który jest przecież przeglądem premier w ciągu ostatnich lat, tkwi chyba ukryta krytyka. Czyżby Natanson nie zauważył we współczesnym repertuarze nic zasługującego na omówienie?

Wybitny reżyser Erwin Axer umieszczał w ciągu trzech lat (1952—1954) drobne felietony w czasopiśmie „Teatr” pod nagłówkiem „Listy ze sceny”, z podpisem e.a. Przeszło sześćdziesiąt tych notatek ukazało się teraz w formie książki⁽³⁾. Są one wyrazem trosk i dążeń nie tylko samego Axera. Znajduje w nich żywe odbicie wiele różnorodnych problemów, które zajmują, często nawet pasjonują ludzi teatru, zdających sobie w pełni sprawę z zadań sceny w Polsce, z jej praw, często niewyzyskanych, z niedomagań, które czasem łatwiej i skuteczniej daloby się usunąć, niż rozmaitym czynnikom decydującym to się wydaje. Axer wzięcie informuje nas o ważniejszych wydarzeniach teatralnych Warszawy, z szacunkiem i sentymentem mówi o swoich mistrzach, np. o Zelwerowiczu czy Schillerze, z wielką troską odnosi się do aktorskiej młodzieży, rozsądnie dyskutuje o metodach pracy aktorskiej i reżyserskiej, próbuje ustalić, czemu repertuar jest wciąż u nas tak mało ciekawy i dlatego tak słaby jest wpływ teatru na bujniejsze od literatury życie.

Niektóre z jego notatek wywołały, po zamieszczeniu ich w „Teatrze”, silniejsze echo i stawały się powodem polemik. To był sukces. Teraz tomik Axera powinien stać się przedmiotem dyskusji w zespołach teatralnych i w oddziałach Związku Literatów. Byłby z tego znaczny pożytek. Wtedy nie trzeba będzie w dalszych tomikach „Listów ze sceny”, a takie się chyba nadal pojawiać będą, powtarzać np. takich sądów... „repertuar czołowych teatrowców... posiada wadę horrendalnego nieprzemyslenia go od strony sił i środków aktorskich naszej sceny” (str. 115), albo: „...zastanawiamy się nad posuchą, nad ubóstwem myślowym i artystycznym współczesnego repertuaru, kiedy wspominamy owe perypetie rodzinne, owe rzekomo ucłowieczające bohaterów naszych sztuk nieważne rozmowy, rozstrzygające się w niewielkich pokoiłkach (co prawda na tle rusztowań lub kominów), to trudno nam oprzeć się myśli, że niesłuszny kierunek zainteresowań formalnych przyczynił się do wyjąłowienia myśli i skarlenia konfliktów oraz problematyki naszych sztuk” (str. 27).

Ze środków zmierzających do poprawy obecnych teatralnych stosunków jeden wydaje mi się szczegó-

nie skuteczny. Axer proponuje, aby wzorując się na doświadczeniach radzieckich, wprowadzić zwyczaj wyjazdów teatrów warszawskich na prowincję i zapraszania teatrów pozawarszawskich na gościnne występy do stolicy. System ten byłby najpotężniejszym bodźcem do polepszenia poziomu scen polskich na prowincji dzięki oddziaływaniu czołowych teatrów, pozwoliłby np. Lublinowi podziwiać Warszawę i równocześnie pobudziłby Lublin do zdobycia prawa pokazania swych najlepszych osiągnięć. Słusznie pisze Axer: „Podróż kształcą. Nie tylko podróże za granicę. Kształcą również podróże po kraju. I nie tylko kształcą: mogą się przyczynić i przyczyniłyby się do usunięcia niejednej wady naszego ustroju teatralnego, wyprostowałyby niejedno wadliwe posunięcie w polityce teatralnej” (str. 67).

Jerzy Pomianowski, poczytny krytyk teatralny, ogłosił serię pierwszą „Z widowni”¹⁾, rozbijając swój zbiorek recenzji i szkiców na cztery rozdziały, a poszczególne notatki na drobne ustępy z osobnymi tytułkami. Czytaliśmy je poprzednio przeważnie w „Nowej Kulturze” czy „Pamiętniku Teatralnym”, ale chętnie przypominamy sobie uwagi Pomianowskiego powtórnie. Przeważnie są trafne i celne. Czasami niektóre spostrzeżenia celowo wyolbrzymiają dla zaostrenia natarcia. Czasem nie wyciągają wyraźnych wniosków ze słusznych założeń. Pisane są jednak stale z dobrą intencją, z troską o teatr i literaturę. Ujmuje radość, z jaką krytyk anonuje nowe zjawiska w teatrze, które warto zapamiętać, np. Krafftównę jako Klarę w „Słubach panińskich” we Wrocławiu, Pawlika jako bliźnięta w łódzkim „Wieczorze trzech króli”, czy Modrzyńską w roli Hani w poznańskiej inscenizacji „Ruchomych piasków” Chojnowskiego. Budzi uznanie uwaga, z jaką zwalcza Pomianowski szmirę w teatrze, choćby nie wiem jak sprytnie reklamowaną. Teatry jeszcze nie docierają w wyjazdach do miast prowincjonalnych, na razie krytycy wędrują po miastach w poszukiwaniu dobrych przedstawień. Pomianowski zdaje więc sprawę z ciekawszych premier w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Wrocławiu, nie jego jednak wina, że te wypadki przynoszą na ogół plon dość skromny, który trzeba było wzbogacić przykładami działalności teatru leningradzkiego, czy twórczości Gogola, aby wskazać wzory.

Z rozważań ogólnych ważny jest głos Pomianowskiego w dyskusji o krytyce, polemizujący z nieradkimi u nas przejawami nihilistycznego stosunku do krytyki teatralnej. Były nawet próby wyłączenia dramaturgii poza nawias literatury. Trafiają się jeszcze

krytyki teatralne tylko rejestrujące, kiedy krytyka powinna również wskazywać drogę teatrom i literaturze. Aby tym zadaniom podołać, krytyka teatralna powinna cechować w tym samym stopniu odwagę, co erudycja i pracowitość. Krytyk musi się też nauczyć „abecadła myślenia dialektycznego”. Gdy to osiągnie, będzie poddawać stale rewizjom zastane przekonania i z reguły kontrolować swoje własne wyroki.

Profesor Kazimierz Budzyk w ciekawym szkicu „O chińskiej operze narodowej”²⁾, zastanawiając się nad przyczynami jej żywotności i wielkiego wpływu na życie narodu, rozważając cenne doświadczenia teatru niemieckiego Brechta i francuskiego Vilara, dochodzi do następującego słusznego stwierdzenia: „Kryzys naszej dramaturgii polega na tym, że jej temperatura ideaowa z niewieloma wyjątkami pozostaje w rażącej sprzeczności z rzeczywistą sytuacją społeczną. Jest to kryzys ideaowy, kryzys wynikający z demobilizacji, z samouspokojenia, no przecież socjalizm zwyciężył, etap rewolucji jest szczęśliwie za nami i ...wystarczy realizm szczegółów, wystarczy styl dramatu mieszczańskiego z końca ubiegłego wieku, nie potrzeba wielkich napięć ideaowych, po co dziś komuś romantyzm ...Jest rzeczą nader znamioną, że pomyłki tego rodzaju nie popełnił ani teatr Brechta, ani teatr Vilara, ani wreszcie opera chińska. Bo tam by to już nie było zabiłanie ideaowe, jak u nas. Tam musiałyby to brzmieć jak hasło rzucone przez wroga” (str. 339—340).

Omówione książki o teatrze i szkic o chińskiej operze łączy, i to jest ich najcenniejszą treścią, walka o teatr idei, dramat prostych wielkich uczuć, o teatr w tonie Kruczkowskiego „Niemców” czy „Juliusza i Ethel”, który by porwał autora, aktorów i widzów i zespałał ich w niezapomnianych przeżyciach, przynoszących siły do dalszej pracy i wiarę w sens i piękno otaczającego nas świata.

Stefan Papée

1) Jan Kott — „Jak wam się podoba. Spotkanie pierwsza”. PIW, 1955 str. 318.

2) Wojciech Natanson — „Szkice teatralne”. Wydawnictwo Literackie. 1955 str. 214.

3) Erwin Axer — „Listy ze sceny”. Czytelnik. 1955 str. 258.

4) Jerzy Pomianowski — „Z widowni” Seria pierwsza. Ilustracje Anny Rembacz Pomianowskiej. Czytelnik. 1955 str. 202.

5) Kazimierz Budzyk — „O chińskiej operze narodowej”. Pamiętnik Literacki. 1955 Z. 4. str. 305—342.

Dziennikarstwo podniesione do wysokiej godności*)

Niedawno ukazała się w tłumaczeniu polskim książka W. Owieczkina „Sprawy dnia powszedniego”, traktująca o pracy partii na wsi. Wzbudziła ona duże zainteresowanie przede wszystkim wśród pisarzy, dziennikarzy i działaczy partyjnych, gdyż autor jest reportażystą, który podniósł swą sztukę do wysokiej rangi, nadał dziennikarstwu wysoką godność. Jego piarstwo zbliżone do człowieka, czyni sprawy powszednie wielkimi. Reportaże i opowiadania Owieczkina nacechowane są optymistyczną wiarą w człowieka, w ostateczne zwycięstwo mądrości, dojrzałości i sprawiedliwości ludzkiej.

Pisarz radziecki ukazuje człowieka nie poprzez szkielet schematu, ale z wadami i z zaletami — w działaniu, nie odłącza też spraw pracy od życia osobistego. Maluje życie bez retuszu nie naturalistycznie, ale tendencyjnie — w dobrym znaczeniu tego słowa. Tendencje Owieczkina to prawda ukazana w dialektycznym powiązaniu zjawisk, ukazująca całą skomplikowaną rzeczywistość z perspektywą zwycięstwa postępu i dobrych cech ludzkich.

Owieczkin walczy ze złem nie metodą gromów i błyskawic, tylko ukazaniem jego przyczyn i wskazaniem wyjścia — nie poucza w natrętny, deklaracyjny sposób. Wychowuje czytelnika przez ukazanie złych stron życia, mobilizując te cechy dobre, które tkwią w każdym z nas. Opowiadania Owieczkina, w których dzieją się bardzo przykre rzeczy, pozbawione są ponuractwa, nie osłabiają przekonania o słuszności drogi rozwoju społecznego poprzez ustrój socjalistyczny. Jakimi środkami uzyskuje autor tę wymowę swego piarstwa?

Przede wszystkim: sprawa materiału, faktów. Owieczkin tkwi głęboko i sercem i rozumem w gąszczu spraw, które opisuje. Materiał to podstawa reportażu-opowiadań Owieczkina. Bez tego bogatego materiału faktycznego, głębokiej znajomości ludzi nie mogłaby istnieć jego sztuka piarska. Posiada on dużą mądrość życiową, znajomość psychiki ludzkiej i prawd głoszonych przez partię. Gdyby nie posiadał mądrości, byłby improwizatorem. Odkrywa skomplikowane procesy w duszach ludzkich nie metodą intuicji, lecz żmudną drogą dociekania prawdy. Talent dziennikarski pomaga mu jedynie do ukazania ogromnej wiedzy o człowieku, jaką posiada.

Cechą piarstwa Owieczkina jest odwaga, ale warunkuje ją odpowiedzialność za prawdę faktów i proporcję, która stwarza prawdziwy obraz życia. Owieczkin zdecydowanie odrzucił teorię bezkonfliktowości. Nie waha się przed ukazaniem drastycznych starć, aby ujawnić pełnię prawdy, nieodzowną do walki ze złem.

Każdy pisarz i dziennikarz wie, że pisanie o partii nie jest łatwe. Owieczkin ukazuje partię jako siłę przodującą w bardzo przekonujący i nie sche-

matyczny, nie deklaracyjny sposób. Jest to m. in. książka o aktywie partyjnym i dia aktywu partyjnego. Aktyw partyjny powinien uczyć się z tej książki na równi z dziennikarzami.

Owieczkin nie jest tylko rejestratorem faktów, wiele rzeczy odkrywa, jego aktualność wytrzyma próbę czasu, gdyż stanie się po pewnym czasie kroniką życia.

W reportażach pisanych w latach 1946—1953 tropi on to wszystko zło, do którego nasza prasa zabrała się na dobre dopiero po III Plenum. Zrywa jak gdyby lakierniczą skorupę. Mimo to „sprawy dnia powszedniego” nie są czarnym obrazem. Każde opowiadanie budzi w czytelniku niepokój, nie zniechęca go jednak, gdyż autor nie lamentuje, nie popada w rozpacz, ale dostrzega siły, które mogą usunąć zło. Głębokie zaufanie do mądrości partii przebija z kart jego książki. Owieczkin konkretnie pokazuje, jak ludzie walczą ze złem, jak mogą je zniszczyć. Nie dawkuje w swych reportażach „negatywnych” stron życia i „pozytywnych”, nie stara się o jakąś sztuczną proporcję, ta proporcja sama wynika z jego faktycznej, głębokiej wiedzy o życiu.

Cztery są niezbędne warunki dla dobrego dziennikarstwa: bogactwo faktów, wiedza, umiejętność zdania sobie sprawy, po co się pisze, i wreszcie zdolność znalezienia właściwej formy. Nie ma w reportażu Owieczkina gadulstwa, choć jest tam dużo rozmów. Dowiadujemy się o ludziach wielu rzeczy złych i dobrych, ale autor wzbudza zaufanie, wierzymy mu, że nie przesadza.

Można się spierać, czy „Sprawy dnia powszedniego” to dziennikarstwo, czy literatura. Moim zdaniem — dziennikarstwo. Owieczkin — literat mógłby stracić nawet część swej prawdy, literatura bowiem nie określa, gdzie leży granica faktów i improwizacji, literatura dopuszcza fantazję pisarza, byle mieściła się ona w ramach obiektywnej prawdy. Trzeba wielkiego pisarza, aby zatarła się w naszej świadomości granica między prawdą życia a fikcją literacką. Owieczkin nie korzysta z porywów fantazji, gdyż samo życie, które bada, staje się kanwą jego piarstwa.

Forma książki jest mniej atrakcyjna niż treść. Akcja nie jest żywa. Przeczytanie książki, liczącej trzysta kilkadziesiąt stron „jednym tchem” nie wydaje się możliwe, nuży ona nieco. Dla reportażystów polskich, nie umiejących (czy niezbyt lubiących) pisać o wsi, jest jednak Owieczkin na razie niedoścignionym mistrzem.

Edmund Grzybowski

*) W. Owieczkin. „Sprawy dnia powszedniego” reportaże i opowiadania. Książka i Wiedza, 1955, str. 353.

Przegląd nowych wydawnictw

JOSEPH CONRAD: „SZALEŃSTWO ALMAYERA“¹⁾

„Szaleństwo Almayera“ należy do tego rodzaju książek, które długo pozostają w pamięci czytelnika. Wartość tego dzieła polega nie tylko na samej wirtuozerii słowa i kunszcie wspaniałego stylu, ale i na umiejętności stawiania przez Józefa Conrada problemów, mających charakter ważki i ogólnoludzki. W momencie zupełnego bankructwa systemu kolonialnego „Szaleństwo Almayera“ ma specjalną wymowę. Jest żywe, wstrząsające dynamiką narastających faktów i aktualne. Autor znakomicie maluje konflikt między Almayerem, reprezentantem dumnej rasy białej, a Malajami. „Mnie wystarczy — pisze Józef Conrad w przedmowie do swojej powieści — współczuć ze zwykłymi śmiertelnikami, niezależnie od tego, gdzie żyją, w domach, czy szalasach, na ulicach zasnutych mgłą, czy w puszczech, poza czarną linią posepnych mangrowców, które obrzeżają pustą samotność morza“. „Szaleństwo Almayera“ jest na wskroś przeszycone subtelnym współczuciem autora, które wywodzi się z głębokiego umiłowania człowieka. Ten szczerzy, rzetelny humanizm promieniuje z kart powieści, wzruszając czytelnika, porwanego nurtem przykuwającej go fabuły, mającej w sobie dużo z cech wielkiej przygody. „Szaleństwo Almayera“ nie jest powieścią egzotyczną, ale chociaż uwaga autora koncentruje się przede wszystkim na ludziach, Conrad wyczarowuje w swym pięknym utworze tak bogate tło, że nieraz właśnie przyroda dzika i wzburzona góruje nad człowiekiem.

Państwowy Inst. Wydawniczy dołożył starań, by powieść Conrada wyszła możliwie najstaranniej. Dobry portret Conrada wykonał Adam Młodzianowski.

STANISŁAW PAGACZEWSKI — „JURA KRAKOWSKO-CZĘSTOCHOWSKA“. ILUSTR. K. SAYSSSE — TOBICZEK²⁾

Książkę Pagaczewskiego „Jura Krakowsko-Częstochowska“ bierze się do ręki z pewnym ociąganiem. Obawiamy się lektury nudnej, suchej, tym bardziej, że często jesteśmy z geografii trochę „na bakier“. Ale kiedy przebrniemy przez pierwsze karty „Jury“, zaczyna pochłaniać nas coraz bardziej atmosfera książki, której treść stanowi barwne, potoczyste opowiadanie o kraju, przyrodzie, jego zabytkach i niezliczonych pięknościach.

Trzeba przyznać, że autor nie tylko potrafi opowiadać, lecz i wyłuskać dla czytelnika takie wiadomości, o jakich wiemy bardzo niewiele. A więc zamierzcze dzieje Wawelskiego wzgórza splatają się tutaj z historią zamku w Pieskowej Skale, z plastycznymi opisami bujnej przyrody, drzew i kwiatów, z mnóstwem interesujących drobiazków, dotyczących

okolic Krakowa i Częstochowy. Wędrując razem z autorem po tych wsiach, miastach i miasteczkach, odkrywamy coraz to nowe szczegóły z przeszłości tej ziemi, poznajemy wspaniałe zabytki, prawdę i legendę o kraju, którego pomniki architektury stanowią żywą historię narodu.

Trudno jest w krótkiej notatce zamknąć wszystkie wartości tej interesującej książki. Chodzi mi tylko o zwrócenie uwagi czytelnika na „Jurę Krakowsko-Częstochowską“ Stanisława Pagaczewskiego, gdyż pod tym mało zachęcającym tytułem kryje się niezmiernie bogata treść o ziemi pełnej swoistej „egzotyki“.

Na pochwałę zasługuje strona graficzna dzieła. Staranna i estetyczna. Ilustracje doskonale uwyklają opisy zawarte w tekście.

PIA GÓRSKA: „PALETA I PIÓRO“³⁾

W latach przedwojennych na półkach księgarskich ukazała się niewielka, niepozorna broszura Pii Górskiej, zawierająca wspomnienia autorki o Józefie Chełmońskim. Ta prosta, bezpretensjonalna książka miała jednak wartość nie tylko dokumentarną, ale i literacką. Miłośnicy wielkiej sztuki samotnika z Kukłówki znaleźli w pracy Górskiej mnóstwo zupełnie szerszemu ogółowi nieznanych szczegółów, dotyczących życia Józefa Chełmońskiego. Książka została szybko wyczerpana, tak, że dzisiaj można ją spotkać jedynie tylko w większych bibliotekach.

Dobrze więc się stało, że krakowskie Wydawnictwo Literackie wydało wspomnienia Pii Górskiej pt. „Paleta i pióro“, mające charakter żywo i nader plastycznie pisanego pamiętnika. W tomie tym zamknęła autorka swoje uwagi, notatki i wspomnienia z drugiej połowy dziewiętnastego stulecia, kiedy to na horyzoncie naszej literatury mocnym blaskiem płonęła gwiazda twórcy „Trylogii“, Henryka Sienkiewicza, a plastyka przeżywała swój wspaniały rozkwit, chlubiąc się nazwiskami takich mistrzów, jak: Jan Matejko, Julian Fałat, Stanisławski, Chełmoński, Podkowiński, A. i M. Gierymscy, Mehofer, Jacek Malczewski, Kurzawa, Pankiewicz i wielu innych. Górka tych ludzi znała, obcowała z nimi bezpośrednio i dlatego jej wspomnienia mają specjalną wymowę. Są wierne, szczerze i nader interesujące. Najwybitniejsi przedstawiciele polskiego malarstwa i literatury tracą uświadomiony „brząz“, schodzą zokołu i są w wielkości swej prości, ludzcy i bliżej sercu czytelnika. Naturalnie przez wszystkie karty wspomnień przebiega kult autorki dla wspaniałej sztuki i niezwyklej postaci Józefa Chełmońskiego.

Książka Pii Górskiej na pewno zdobędzie sobie licznych czytelników, zwłaszcza wśród tych, którzy interesują się malarstwem i literaturą. jnk.

¹⁾ Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa.

²⁾ Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1955.

³⁾ Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956.

W NUMERZE CZWARTYM „OGOŃKA” z rb. znajdujemy interesujący i dowcipny reportaż A. Sofronowa pt. „Detektywistyczne zdarzenie”. Autor opisuje w nim wrażenie z pobytu wraz z Borisem Polewojem i tow. w Stanach Zjednoczonych, zatrzymując się głównie nad gościnną w Kalifornii, gdzie pisarzem radzieckim nieodstępnie towarzyszyli, mniej lub więcej dyskretnie, detektywi amerykańscy. W reportażu tym jest między innymi ustęp mogący zainteresować czytelników polskich. Mowa w nim o zwiedzaniu uniwersytetu kalifornijskiego i przyjęciu, jakie zgotowano gościom na katedrze języka i literatury rosyjskiej. Cytujemy odpowiednie miejsce: „... (Wicekanclerz uniwersytetu mr Davis) powitał naszą delegację. Boris Polewoj odpowiedział. Zaczęło się śniadanie. Obok mnie znalazł się niestary jeszcze człowiek, który się przedstawił jako profesor Lednicki. (Wacław Lednicki, autor monografii „Aleksander Puszkina”, wydanej w Krakowie w r. 1926 — przypis. nasz). — Czy zna pan akademika Winogradowa? — spytał mnie. — Oczywiście. — Niech go pan pozdrowi ode mnie. Spotykałem się z nim kilka razy. Po raz ostatni w Rzymie w r. 1955. Niejednokrotnie korzystałem z jego prac. Cytowałem go... Widzi pan, jestem słowianozawcą, puszkinistą. Wkrótce ukaze się moja monografia o „Jeźdźcu miedzianym”. Niedawno wyszła pod moją redakcją książka „Mickiewicz w literaturze światowej”. W r. 46 wydałem książkę „Szkic o prozie Puszkina”. — Lednicki umilkł na chwilę, potem znowu zwrócił się do mnie: — A zna pan profesora Timofiejewa? — Znam... Bo co? — Lednicki westchnął: — Gdyby mu pan zechciał powiedzieć ode mnie, dlaczego

ilekroć poruszy moje prace, mówi o mnie, że jestem „przedstawicielem fałszywego burżuazyjnego literatury-roznawstwa”, „pseudouczonym” i używa podobnych słów... Przecież na tematy naukowe można polemizować poważnie bez takich politycznych akcentów. — Nie znam pańskich prac, panie Lednicki. — Mogę je panu przysłać”.

BRUNONA JASIEŃSKIEGO, znakomitego, tragicznie zmarłego poe'tę, przypomniali wreszcie pisma literackie: w n-rze 7 „Przeglądu Kulturalnego” o pierwszych sześciu latach jego twórczości pisze Grzegorz Lasota („Początek drogi Brunona Jasińskiego” — fragment większej całości), w n-rze 9 „Nowej Kultury” Anatol Stern, obok Wata najbardziej powołany do skreślenia sylwetki literackiej Jasińskiego, zamieszcza o nim swoje „Wspomnienia”, w których między innymi opisuje wzruszenie, jakiego doznał, niespodziewanie spotkawszy się w Moskwie z wdową po poe'tcie — Anną Berziń. W tym samym numerze tego pisma przytoczono fragment świętego poematu Jasińskiego „Słowo o Jakubie Szeli”. Należy się spodziwać, że w najbliższym wydaniu „Dwóch wieków poezji rosyjskiej” i w zapowiadzanej edycji Majakowskiego pod znakomitymi przekładami figury listek „Przekład zbiorowy” zostanie zastąpiony właściwym nazwiskiem tłumacza. Czekamy na zbiorowe wydanie poezji Jasińskiego i jego powieści. No i czas przypomnieć również Witolda Wandurskiego i Stanisława Ryszarda Standego. Broniewski, jedyna z rozbrzmiewających „Trzech salw”, ma głos.

-kaj-

KORESPONDENCJA

Ob. St. Al. Krz. w Kłodzku. Próbkę nadesłanych przekładów (zwłaszcza z Lermontowa) świadczą o tym, że warto nadal pracować w tym kierunku. Wiersz oryginalny „Dedal” mniej interesujący. Jeśli w Kłodzku trudno nabyć „Kamenę”, radzimy ją zaprenumerować; opłata roczna wynosi 60 zł.

Ob. H. Marcz. w Warszawie. Z łaskawie nadesłanych nam utworów nie skorzystamy.

Ob. St. Mor. w Zamościu. Dwa nadesłane nam wiersze — słabe. Ale jeszcze jesteście młodzi, lubicie poezję, może z czasem uda się lepiej. Uczcie się na klasykach i współczesnych.

Ob. Br. Pietr. w Gutanowie. Twierdząc, że „nadszedł czas, aby chłop też zajął godne stanowisko w szeregach ludzi, którzy myślą i czują za miliony”, macie zupełną rację. Ale na razie piszcie jeszcze wiersze „dla swej przyjemności” i do ściennych gazetek w uzdrowiskach.

Ob. J. K. w Lublinie. Z „Niobe niebieskiej” nie skorzystamy, ale prosimy o przysłanie innych próbek swych wierszy.

Ob. W. R. Rut. w Mogielnicy. Na podstawie nadesłanych wierszy, które jeszcze nie nadają się do druku, wydaje nam się, że jednak warto dalej pracować.

Ob. Lech. Jes. Sądząc po „Deszczu” i „Zagubionej piosence”, przypuszczamy, że nie powinniście zrywać z poezją; po kilku miesiącach przyslijcie nam nowe próbki wierszy.

Ob. Cz. K. w Lublinie. Z nadesłanych nam wierszy najlepszy ostatni „Jeszcze jeden dzień”. Macie możliwości poetyckie, ale musicie się wyżyć wpływów młodopolskich i banałów w obrazowaniu. Wymaga to dłuższej pracy i obcowania z współczesną poezją.

REKLAMACJA DO „KAMENY”

W ostatnim numerze „Kameny” na stronie 14 czytamy: „Na ulicy im się kłaniał Sancho PANCHO”

Przez trzy stulecia nazwiska-m nie zmienił
Aż mnie przechrzcili w lubelskiej „Kamenie”!

Sancho PANSA